Nr. 32. Poznań, Niedziela 4go Listopada 1894 r. Rok. I

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Samobójstwo polityczne.

Coś dziwnego i zatrważającego dzieje się w tym cichym Poznaniu. Całe społeczeństwo w fermencie, całe miasto jak wulkan i taki straszny chaos i bezradność, że najzimniejsi dyplomaci tracą równowagę i spokój.

Zdawało nam się na chwilę, że nadszedł moment ukojenia, ale rozbicie sobotniego zebrania na sali Lamberta zniszczyło do szczętu wszystkie nadzieje. Dziś namiętności wrą potężniej niż kiedykolwiek, dziś przepaść między stronnictwami szersza, groźniejsza i głębsza. Kto winien? pytają w około, i tysiące ust wołają: „ukrzyżuj“! a każdy inne wymienia nazwisko. Chcąc zbadać dokładnie przyczyny sobotniej katastrofy musimy cofnąć się wstecz i zajrzeć do wielkiej fabryki materyałów eksplodujących, w którą w ostatnich czasach zamieniła się prasa poznańska. Między fabrykantami psychicznego dynamitu spotykamy przedstawicieli nieomal wszystkich obozów, — jest tam „Dziennik Poznański“, „Kuryer“ i „Wielkopolanin“, jest tam „Orędownik“ i „Postęp“. Przedewszystkiem zważyć wypada, że ruch emancypacyjny ludowych żywiołów przywitano w starym obozie najniefortunniejszą represyą, a rękę „nowych ludzi“, żądających steru, uderzano tak silnie i tak bezwzględnie, że każda chłosta potęgowała żywioł fermentacyjny, — potęgowała ból i nienawiść „wydziedziczonych.“ Wyzyskiwano ambonę w celach stronniczych, rozsyłano po całej prowincyi owe słynne okólniki z dyskretnem piętnem inkwizycyi na czole, głoszono publicznie bojkot przemysłowców i kupców, zgromadzonych pod innym sztandarem, wyczerpano cały arsenał ulicznych komplementów dla ośmieszenia przeciwników, charakteryzowano ich jako wrogów religii i kościoła, a wreszcie krępowano swobodę wyborców żandarmami na sali, poborcami u drzwi i rychłą godziną walnego zebrania. Oczywiście prasa ludowa nie omieszkała tych fałszywych ruchów wyzyskać w interesie własnego stronnictwa. „Postęp“ i „Orędownik“ rozdmuchiwały z demoniczną rafineryą żar tlejący w szerokich tłumach. Każdy wybryk przeciwnego obozu charakteryzowano tu w najdrastyczniejszych kolorach, a odpłacając pięknem za nadobne rzucano między lud coraz jaskrawsze hasła walki klas, nieufności i nienawiści. Na razie postępowanie takie przynosiło korzyść stronnictwu ludowemu. Armia „Orędownika“ i „Postępu“ potężniała, a rozfanatyzowani żołnierze przysięgali na koran proroków swoich. Rachuby jednak p. dr. Szymańskiego — jedynej inteligentnej i myślącej głowy w poznańskim obozie — kombinacyami swojemi na dalszą nie sięgały przestrzeń, nie opierając się na głębszej znajomości psychologii tłumów i dokładnej kontroli wybuchowej siły eksplodujących wyrobów. Chcąc szerokie warstwy ludu utwierdzić w przywiązaniu do sztandarów swoich i zniszczyć jednym zamachem ową nieśmiałość i niepewność właściwą wszystkim politycznym neofitom, schlebiał apostoł „Orędownikowy“ wyznawcom nowej ewangelii w sposób dziwnie wszechstronny i bezwzględny. Każdy wybryk mianowano cnotą w łamach ludowych organów, każdy krzykacz otrzymał patent dyplomaty, każdy frazes, każdy objaw buntu, każdy symptom szału stronniczego, zyskiwał stempel obywatelskiej dojrzałości i samodzielności. I zanim się spostrzegł p. dr. Szymański, burza zmieniła się w orkan, głosy opozycyi w wrzaski rewolucyi, idea demokratyczna w ochlokratyczny fanatyzm. Znalazł redaktor „Orędownika“ słowo zaklęcia dla rozbudzenia tłumów, ale hamulca szuka dziś napróżno.

A nadto popełnił pan dr. Szymański jeszcze jedną poważną omyłkę, pozwalając obok siebie wyrastać ludziom, zdolnym może do fanatyzowania tłumów ale nie posiadającym najmniejszych kwalifikacyi na mężów prawdziwie politycznych. Przeliczył się nieostrożny dyplomata. Pragnął bowiem stworzyć adjutantów posiadających stanowcze zaufanie ludu, bo wyrosłych w jego własnych szeregach — a stworzył sobie królów dominujących, wyrastających dzisiaj wysoko nad niego i wydzierających mu berło i ster. Istotnym panem stronnictwa ludowego nie jest dziś już p. Dr. Szymański. — prorokami są obecnie demagodzy w stylu pana Knapowskiego, chociaż i oni rozhukanych bałwanów jednem „Stań się“ uciszyć nie mogą. Zerwane wszystkie groble i więzy, a rezultatem samobójstwo polityczne ludowego stronnictwa i rozprzężenie całego społeczeństwa.

Jaskrawym przykładem powyżej określonych stosunków jest sobotnie zebranie wyborcze. O ile sądzić można z proporcyi głosów przy wyborze przewodniczącego, to stronnictwo ludowe reprezentowało prawdopodobną większość, aczkolwiek niewielką, na sali Lamberta. Czy ta większość jest wyrazem istotnej siły stronnictwa ludowego, czy też tylko produktem gorączkowej agitacyi z jednej strony, a ospałości agitacyjnej z drugiej, tego rozstrzygać nie możemy, — ale przyznajemy otwarcie, że zwycięztwo spoczywało według wszelkiego prawdopodobieństwa w rękach stronników „Orędownika“ i „Postępu“. Zwolennicy ruchu ludowego jednak nie przyszli po to jedynie na salę, aby zwyciężać, lecz po to, aby wylać z siebie całą nienawiść klasową, aby upoić się wrzaskiem stronniczego wyuzdania, aby nietylko rozbroić przeciwnika, lecz pastwić się nad nim, — a takie usposobienie musiało w ostatecznej konsekwencyi doprowadzić do rozbicia zebrania i tem samem wytrącić stronnictwu ludowemu szansę zwycięstwa. Spostrzegli przywódzcy w ostatniej chwili grożące niebezpieczeństwo i głos ich w artykułach agitacyjnych brzmiał zachętą ciszy i spokoju, ale w szerokich tłumach nagromadzono przez kilkanaście miesięcy tyle materyału fermentacyjnego, że głos ten stłumić nie zdołał wybuchu. I próżno zaklinał pan Dr. Szymański swoich przyjaciół politycznych z estrady wiecowej, próżno inni trybuni wyciągali ręce, aby ukoić namiętności, — tłum szalał i nikt go nie wstrzymał. A szał ten oczywiście zaraził również przeciwników ruchu ludowego, którzy wkrótce przyswoili sobie taktykę *„zakrzyczenia“*, i oto w pięć minut po zagajeniu obrad cała sala zmieniła się w piekło. A przecież mimo to jeszcze nie wszystko było stracone. Wśród niepokoju i bezustannych hałasów byłyby może wybory ostatecznie przyszły do skutku, gdyby stronnictwo ludowe nie wysunęło w charakterze przewodniczącego redaktora „Postępu“. Ten krok dopełnił politycznego samobójstwa ruchu ludowego na sobotniem zebraniu.

Zauważyliśmy w jednym z dawniejszych numerów pisma naszego, że nazwisko pana Kościelskiego działa na wyborców jak czerwona chusta w hiszpańskiej arenie, — porównanie to zastosowały niektóre z pism poznańskich obecnie do p. Dobrowolskiego, — a z równą słusznością zastosować je można do przewodniczącego zebrania p. Knapowskiego. Jeżeli bowiem naczelny redaktor „Dziennika“ działa denerwująco na ruch ludowy namiętną stronniczością swoją i tasiemcowym sposobem dyskusyi, to redaktor „Postępu“ drażni butą niesmaczną i rewolwerowym charakterem pisma swojego z równą intenzywnością stronnictwo konserwatywno-ugodowe. Przewodniczącym zebrań politycznych, na których rozgrywują się zapasy kilku stronnictw

winna być osoba najmniej w tej walce zaangażowana, — obywatel posiadający w mniejszym lub większym stopniu sympatye wszystkich, — ale nigdy człowiek, znienawidzony przez jednę z walczących armii i prowokujący charakterem swoim objawy niezadowolenia. A jeżeli zarząd ruchu ludowego ulegając bezrozumnej presyi szerokich tłumów pragnął koniecznie krzesło prezydyalne zdobyć dla jednego z wybitnych i zdeklarowanych stronników swoich, to należało powołać do steru przynajmniej takiego człowieka, który posiada takt parlamentarny i znajomość prawideł konstytucyjnych. Gdyby p. dr. Szymański dzierżył jeszcze dawną, niepodzielną władzę i nie lękał się ambicyi pana Knapowskiego, to w interesie partyi wysunąłby niezawodnie w ostatecznym razie własną kandydaturę. Można się bowiem z dr. Szymańskim godzić lub niegodzić na kierunek polityczny i taktykę dziennikarską, ale wróg najzacietszy jedno przyznać mu musi: R u t y n ę p a r l a m e n t a r n ą i f o r m p r z y z w o i t o ś c i. W jakim natomiast charakterze wystąpił p. Stanisław Knapowski? Nie dbając o zachowanie chociażby tylko pozorów bezstronności, stanął przed nami jako reprezentant stronniczego absolutyzmu, rozstrzygał samowolnie o wątpliwych rezultatach głosowania, odbierał bezprawnie głos mówcom, opierającym się na zasadach sprawiedliwości, a ławnikom, reklamującym prawa swoje, odmawiał praw tych w sposób wręcz brutalny. Takie postępowanie musiało w ostateczności doprowadzić do rozbicia zebrania i stronnictwo ludowe pozbawić zwycięztwa przez podeptanie kardynalnych prawideł legalności. Starają się wprawdzie „Orędownik“ i „Postęp“ usprawiedliwić zachowanie pana Knapowskiego, wytaczając na obronę swoją argument, że według regulaminu sejmu pruskiego przewodniczący jedynie w razie „wątpliwego“ rezultatu głosowania o zdanie ławników zapytać się winien, ale zapominają zupełnie, że regulamin fakt „w ą t p l i w o ś c i“ uznaje już wtedy, jeżeli z łona posłów lub ławników odezwie się jeden jedyny głos protestu. Gdyby takie zastrzeżenie nie istniało, to s t r o n n i c z y przewodniczący nie uznałby nigdy „w ą t p l i w e j“ większości, — pan absolutny, otoczony gronem malowanych doradzców. Wniosek p. dr. R a b s k i e g o o przeprowadzenie ściślejszej „itio in partes“, podyktowany był jedynie poczuciem sprawiedliwości, a odrzucenie wniosku tego i bezprzykładne lekceważenie ławników zniweczyło prawdopodobne zwycięztwo ruchu ludowego Naczelny redaktor pisma naszego i całe postępowe stronnictwo „Przeglądu“ nie taiło się nigdy z sympatyami swojemi dla idei demokratycznej ludowego obozu, ale potępiając zakusy demagogiczne, taktykę brutalizowania przeciwników politycznych i urąganie formom konstytucyjnym, protestować musimy z całą stanowczością przeciw postępowaniu w stylu p. Knapowskiego, które ruch ludowy dyskredytuje i w ostateczności dotkliwą mu wyrządza szkodę.

Zebranie zatem rozbito, a wyboru nowego komitetu, pozbawionego warunków legalności, uznać nie możemy bez sankcyi najwyższej władzy wyborczej. Z drugiej strony jednak niepojętem jest dla nas postępowanie starego komitetu, który złożywszy oficyalnie urzędy swoje w ręce walnego zebrania, urzędy te natychmiast po sobotniem rozbiciu powtórnie sobie p r z y w ł a s z c z y ł. Innym wyrazem taktyki tej „samowolnej“ określić niepodobno, chociaż komitet Dr. Kusztelana na obronę swoją przytacza zbliżające się wybory do rady miejskiej i potrzebę szybkiej agitacyi.

Potępiamy nielegalność komitetu „nowego“, a zatem konsekwentnie potępić musimy nielegalne postępowanie starego, bo nie wolno nam zarzutem bezprawia obarczać innych, jeżeli sami opieramy się na fundamencie bezprawia.

Dzisiaj jedyną, obowięzującą nas władzą wyborczą jest komitet prowincyonalny. On powinien rozstrzygnąć natychmiast kwestyę wyborów poznańskich — i bądź to uznać legalność komitetu „ludowego“, bądź to potwierdzić tymczasowość starego, bądź też zwołać jak najrychlej powtórne zebranie i dokonać nowego wyboru. Obecnie żaden komitet poznański nie istnieje dla nas, a jeżeli najwyższa władza wyborcza stósunków tych definitywnie nie usunie, to w stanowczej chwili zjawić się może niebezpieczne pytanie: Kogo tu słuchać i na kogo głosować?!

* * *

Już po wydrukowaniu powyższego artykułu dowiadujemy się, że prezes komitetu prowincyonalnego domósł w środę wieczorem p r y w a t n i e panu Dr. Kusztelanowi, że z powodu uchybień formalnych uznaje całe zgromadzenie sobotnie za nielegalne, a zatem wszystkie uchwały jego za nie istniejące. Komitet Dr. Kusztelana zażądał natychmiast o f i c y a l n e g o potwierdzenia tej opinii, proklamującej *„status quo ante“* i zamierza dopiero po ukończeniu wyborów do rady miejskiej złożyć po raz drugi urzędy swoje.



Rosya jutrzejsza.

(R o z m o w a z n i h i l i s t ą.)

W chwili bieżącej stawia sobie wykształcona Europa pytanie, jaki po zgonie cara zawieje wiatr w Rosyi. Umysły usiłują zedrzeć zasłonę z tajemniczego jutra i zastanawiają się nad osobami najbliższemi Petersburgskiego dworu.

Aby poinformować się w kołach najwięcej interesowanych i dobrze obeznanych ze stanem rzeczy w Rosyi, udał się reporter radykalnego organu angielskiego „The Daily Chronicle“ do znanego powszechnie nihilisty p. Stepniaka.

Pan Stepniak albo krótko „Stepniak“, jak nazywają go gazety londyńskie, jest duszą i głównym filarem rosyjsko-angielskiego stowarzyszenia „Free Russia“, w którego poczet weszło kilku członków parlamentu i osób znanych w publicystyce. Zdolny mówca i dziennikarz dał się poznać zaszczytnie także jako powieściopisarz. Jego „Karyera nihilisty“ jest bardzo popularną książką. Na ziemi angielskiej i amerykańskiej zażywa on ogólnego uznania i ma opinią znakomitego znawcy stosunków moskiewskich.

Zapytany przez reportera czy śmierć cara spowoduje zmiany w ustroju społecznym odparł:

— Bezwątpienia. Jednakże charakter następcy tronu jest zupełnie nieznanym. Zdania o nim są bardzo podzielone. Tak ma się zwykle rzecz z następcami tronu i nawet obecny car uchodził za liberalnego przed objęciem korony. Przypomina pan sobie jak niewłaściwie określono charakter cesarza niemieckiego przed zgonem Fryderyka III a nawet później. Czyliż nie był to Sir Karol Dilke (znany poseł), który w rok po wstąpieniu na tron Wilhelma II głosił, iż w Niemczech panuje jedna tylko głowa — Bismarck? A gdzież dziś ów Bismarck?

— Nowi monarchowie — zauważył reporter — mają własnych przyjaciół i doradców. Mikołaj II nie będzie pewnie wyjątkiem. Czytał pan w gazetach, że chodzą wieści o zaprowadzeniu regencyi?

— Regencyi? Niezupełnie. Rosya bowiem nie zna takiej instytucyi w pełnem tego słowa znaczeniu. Prawda, że car obejmując rządy po

15)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI

MAURYCEGO ZYCHA.

(Dokończenie.)

4 września.

Jest to, zaprawdę, kolosalna scena! Na równych polach, między folwarkiem Krępa i miasteczkiem Maciejowice umieściły się te trzy pułki naszej dywizyi, które już wypoczęły, i odbyła się pierwsza, wstępna niejako, ich rewija. Pułk czwarty wypluwa jeszcze piasek. Stałem w szeregu, oczekując wymarszu na łagodnej wyniosłości i mogłem bardzo dobrze obserwować szyk i sprawność tej machiny. Ma ona kształt litery E.

Południowe ramię tej litery kierowało się ku zachodowi i zajmowało przestrzeń między Podzamczem i błotami, korpus główny stał prostopadle do tego ramienia na przestrzeni, pewnie, trzech wiorst a ramię północne, na końcu którego i ja, uzbrojony w karabin, odgrażałem się wrogom zewnętrznym oraz wewnętrznym, lokowało się na wydmuchach po wyrąbanym lesie, upstrzonych pniakami. W środku błyszczał sztab, oczekując na przyjazd komendanta dywizyi. Sterczeliśmy tak, Bogu dzięka, ze trzy godziny. Dopiero około pierwszej ukazał się powóz od strony Sobolewa. Wtedy z kupki oficerów wyszedł ktoś błyszczący. Mignęł na słońcu jego pałasz i jednocześnie, jak mogło ucho pochwycić, na całej linii rozległa się komenda podpułkowników, stojących przed szeregami na koniach: — prezentuj broń! Błyskawica, kiedy się wali z chmur na ziemię i wstrząsa posadami całych okolic nie migoce tak jakoś strasznie, jak bagnety i lufy karabinów, w jednem mgnieniu oka sprezentowanych przez ośm tysięcy ludzi. No, — a przecież *ce sont des „pustiaki“*: ośm tysięcy ludzi... Jest to zaledwie jakby maleńkich rozmiarów manometrzyk olbrzymiego kotła, na którym stoi cała fabryka. Śpijcie spokojnie, szanowni panowie *burżuje...* To całe pole, ledwie okiem objąć się dające, podobne było do jakiegoś zwierza, okrytego „szczeciną ze stali“, jak powiedział pewien „Byron z duszą rosyjską“. Co do mnie, to z całą serdeczną otwartością wyznaję, że mi na ten widok *rura*, czyli fantazya unteroficerska na amen zmiękła. Jeżeli kiedykolwiek uczuwałem pohop do zdrady, to wówczas właśnie. Biedna *kanalia!* Z nagiemi piersiami odsłoniętemi przepoconą bluzą, ze zwiniętym kułakiem na tę ostrą „szczecinę“... Przygasły od pyłów fabrycznych wzrok jej musi spotkać się z tym błyskiem... Musi; więc i moja podnieta do zdrady, wyrąbując się przez bolesny strach i krwawy żal, szła coraz gwałtowniej...

6 września

Zaledwie dziś około południa powróciłem z manewrów do budy i nieumyty, zakurzony jak pocztylion rzuciłem się na posłanie, gdy wszedł posługacz Wilkinc. To duże, niezgrabne chłopisko dygotało na całem ciele i łzy miało w oczach.

— Czegóż ty chcesz? — zapytałem.

— Doktór was woła, chodźcie, bardzo woła!

— Po co?

— Nie mogę wiedzieć. Chodźcie!

Udałem się tedy aż pod Maciejowice, nie zwlekając. Gdym wszedł do namiotu doktora, żałosne oczom moim ukazało się widowisko: leżał na posłaniu skulony, usta miał bezwładnie roztwarte... Tylko ceglasty wypiek na lewym policzku wskazywał, że jeszcze życie nie

ojcu zobowiązał się w razie konieczności powierzyć ster państwa w ręce brata swego Włodzimierza, dopóki carewicz nie przyjdzie do pełnoletności, lecz regencya ta wygląda dziś zupełnie inaczej. Była przecież mowa jedynie o radzie wykonawczej.

— Jakiego charakteru człowiekiem jest W. Ks. Włodzimierz?

— Zagorzałym reakcyonistą w daleko większym stopniu od swego brata, cara i ztąd bardzo niepopularnym. Carewicz, jak powiedziałem, jest dotąd zagadką.

— Donoszą depesze, że ślub jego ma być przyspieszonym.

— Tak. Według mego zdania jest to najdonioślejszym rysem w obecnej chwili, mając na uwadze chorobę ojca. Gdyby car bowiem miał zejść ze świata wkrótce, ślub nie mógłby się odbyć przed upływem roku.

— Niezawodnie ze zmianą rządu uzyska Rosya wreszcie pewne ulgi w duchu liberalnym.

— Bardzo wątpliwem czy gabinety monarchów posiadają pewne dane, aby rzeczy taki miały wziąść obrót w Petersburgu. Na widowni tamtejszej próżno szukam człowieka, w którymby był materyał na prawdziwego męża stanu. Kobiety przedstawiają się lepiej pod tym względem od mężczyzn: W. księżniczki dodatniej od swych mężów, którzy nie zdają sobie sprawy bezpośrednio z potrzeb i wymagań naszych czasów, podczas gdy ich żony, wychowane na małych dworach niemieckich, widzą rzeczy we właściwym świetle. Lecz ideje ich podlegają woli mężów.

— Jednakże Aleksander II był bliskim ustanowienia czegoś w rodzaju sejmu z zadaniem doradczem.

— O! nie wyglądało to tak. Mówiono o tem jedynie jako o próbie. Nawet uwłaszczenia kmieci, które było wielkim czynem ze strony Aleksandra II, nie dochował jego następca, gdyż przez swą politykę sprzyjającą szlachcie — szlachcie, w porównaniu z angielską złożoną z dorobkiewiczów lub panów nominalnych — na koszt włościan, w gruncie rzeczy nawrócił rzeczy do status quo ante. Chciej mi pan wierzyć, że od autokratycznego rządu nic nie da się osięgnąć bez nacisku. Mam nadzieję, że uda się dokazać tego pod najbliższym władcą.

— O jakiego rodzaju nacisku pan mówi?

— Naprzód o nacisku wywieranym przez ludzi ze stanowiskami i wpływami, których nie możnaby powołać do odpowiedzialności za ich przekonania. Tam, gdzie rząd nie ważyłby się ukarać ich, musiałby im ulegać.

— Kiedy mowa o nacisku, — wydaje mi się, że nihiliści zachowywali się biernie w ostatnich latach?

— Czy tak? Wydawać się to może w Anglii tym, którzy nihilistę wyobrażają sobie jedynie z bombą w ręku. Pozwól mi pan powiedzieć sobie, że wszystkie spiski, o których czytaliśmy w gazetach ostatniemi czasy są poprostu produktami imaginacyi dziennikarskiej we Wiedniu, który jest jedną z urodzajniejszych gleb do wydawania na świat „kaczek“ w Europie.

— Polacy?

— Nie, nie Polacy, zwyczajnie dziennikarze, którzy uganiają się za sensacyjną strawą dla czytelników. Powtarzam panu, że nihiliści nie są przez pół nawet tak źli, jakimi ich malują i byliby nieskończenie szczęśliwsi, gdyby udało się osięgnąć żądania nasze drogą pokojową.

— Jakie są żądania nihilistów?

— Krótko mówiąc 1) stałe ciało reprezentacyjne, któreby w wszystkich ogólnych kwestyach państwowych było najwyższą instancyą, 2) autonomia prowincyi na szeroką skalę, zagwarantowana przez obieralność wszystkich urzędników, 3) niezależność gmin (mir) zjednoczonych pod względem ekonomicznym i administracyjnym, 4) unarodowienie ziemi, 5) serya praw nadających udziały w własności fabryk robotnikom, 6) absolutna wolność przekonań religijnych, dziennikarstwa, słowa, publicznych zebrań, związków i wyborów, 7) rozciągnięcie prawa wyborczego do wszystkich pełnoletnich mężczyzn bez różnicy stanowiska lub majątku, 8) zaprowadzenie milicyi w miejsce armii regularnej. To jest nasz program.

— Dosyć duży obstalunek, Monsieur Stepniak n'est ce pas, u autokratycznego władcy Wszechrosyi? Czy nihiliści spodziewają się uzyskać wszystkie te ogromne zmiany od razu?

— Może nie odrazu, lecz to są ich przekonania i cele. Gdyby sfery liberalne postarały się lepiej i energiczniej wyrazić swe poglądy, nie ulega wątpliwości, że pod nowym rządem udałoby się uzyskać wiele. Nie mam tu na myśli żadnego wybuchu rewolucyjnego lecz myślę o szeroko rozgałęzionym i przenikającym wszystkie warstwy ruchu pomiędzy klasą wykształconą, który powinien okazać się nieprzepartym. Ogólne niezadowolenie jest głębokiem i potężnem i wzrasta z dniem każdym. Obecny carewicz świetną będzie miał sposobność okazać swą znajomość rzeczy (wisdom), zmniejszając przeróżne dolegliwości kraju, które zawsze wisiały nad jego ojcem i życie jego czyniły nieznośnem. Może przecie lepiej będzie pod nowem berłem. W istocie mogło by się wiele rzeczy poprawić, lecz pogorszyć — trudno. W każdym razie lepiej będzie ze strony partyi rewolucyjnej, albo raczej partyi reformy zużytkować ogólne nieukontentowanie i wywrzeć nacisk, aniżeli uciekać się do środków gwałtownych.

— Zatem t. z. nihiliści przekształcają się na Fabianów irlandzkich.

— Bynajmniej, Fabianizm nie działa wcale, lecz łudzi się nadzieją i „przenika“. Nasza partya rewolucyjna działać musi i z pewnością działa.

Nobody.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ Słowian południowych, wychodzący w języku włoskim w Tryeście „*Il Pensiero Slavo*“ tak się rozpisuje w kwestyi sporu włosko-słowiańskiego:

„Wielka kwestya słowiańska, która coraz to bardziej wysuwa się na plan pierwszy w polityce i ruchu cywilizacyjnym Europy — jest Włochom najmniej ze wszystkich innych narodów bezpośrednio się nami interesujących, znaną. Włosi nie mają pojęcia o stosunkach panujących poza granicami ich królestwa. Interesują się Paryżem, cokolwiek mniej Berlinem, a wobec 150 milionów Słowian są ślepi i głusi. Nie znają postępu ogromnego, jakiego dokonała Słowiańszczyzna a „Słowianin“ oznacza dotychczas u nich barbarzyńcę.

„Jedynym wyjątkiem jest „w kraju kwiatów“ (nella terra dei fiori) w czasie najnowszym powieściopisarka i literatka *Caterina Pigorini Beri*, która przed kilku laty zwróciła na siebie uwagę polemizując w „Folchetto“ w sprawie pochodzenia ludności friaulskiej (ludność ta mówi językiem włosko-słowińskim, przyp. tł.) z naszem pismem.

„Co godne uznania polemika ta toczyła się bez inwektyw, z objektywnością i delikatnością, z którą tak trudno spotkać się w dziennikach włoskich, gdy piszą o swych sąsiadach słowiańskich. Ponieważ autorka studyowała nasze stosunki przez cały szereg lat, przeto nie grzeszyła nieznajomością rzeczy i pierwsza sprostowała spaczone o nas pojęcie. Dziś atoli nie chcemy zabierać głosu w ogólnej kwestyi słowiańskiej, ale kilka słów poświęcić stosunkom tych krajów.

„Kraje z naszej strony Adryatyku, do których Włosi roszczą pretensye, są krajami sło-

---

uciekło. Stanąłem u wejścia. *Dienszczyk* począł dosyć głośno odmawiać modlitwę. Powieki doktora uchyliły się z ciężkością i zaraz wykrzywiła jego usta taka bezgraniczna boleść!... Nigdy jeszcze nie widziałem na twarzy ludzkiej podobnego wyrazu. Kiedy się nad nim schyliłem, dźwignął rękę i chudemi, zimnemi, sztywnemi palcami z mocą, na jaką go stać było ścisnął mi końce palców. Zwrócił potem na mnie oczy pełne łez, smutku prawdziwie śmiertelnego i jakiegoś błagania, czy miłości... Usta mu drgnęły i wyszeptał:

— *Prosti*...

Dziwny wyraz, bo znaczy zarazem: przebacz i żegnaj na zawsze.

Gdy umierający przymknął znowu powieki, jakby dla powstrzymania łez, co cienką strugą toczyły się po jego policzku, — wyszedłem ztamtąd i udałem się do starszego lekarza. Tamten jadł właśnie obiad i trzeba było czekać blisko godzinę. Usiadłem na brzegu jednego ze stawów obok parku Podzamcza, no i czekałem, wiedząc aż nadto dobrze, że to wszystko trzech groszy nie warto. Śliczny był dzień. Ostatni raz słońce spoglądało na ziemię po letniemu i ukośne jego promienie szły z takim smutkiem po czarnych smugach piasku, po stajankach zeschłych badyli kartoflanych, po ścierniach. Czerwone, rdzawe, brunatne, jasnożółte i płomieniste barwy okryły park przecudny. Suche liście, niby łzy drzew, spadały na ziemię. W przestrzeni czystej, na niciach pajęczyn leżało jakieś słowo, czy zdanie, jakaś myśl okrutna, tyrańska, podła.

Starszy lekarz najadł się koniec końców i wyruszył w celu ratowania kolegi, sapiąc i wyklinając piwo i baraninę. Gdyśmy się zbliżali do namiotu Wiłkina, już było po wszystkiem. Posługacz stał z gołą głową przed wejściem i żegnał się nabożnie.

— No? — zagadnął dr. Piestricyn.

— Pan Bóg się zlitował, *Wasze Wysokorodje*.

— Nie oddycha?

— Nie inaczej *Waszeskorodije*.

Piestricyn wszedł do namiotu i zaraz potem wycofał się, kreśląc ręką przed nosem i zatłuszczoną jeszcze brodą coś w rodzaju znaku krzyża.

Szedłem powoli, czując na sobie wielki ciężar samotności i głębokie rozdarcie moralne. Byłem jakby schłostany rózgami, napojony goryczą i wstydem. Już nic nie mogłem postawić we własnych myślach naprzeciwko tych wszystkich zjawisk. Na duszy mojej usiadła i wpiła się w nią żądłem jakby zła mucha, która przed chwilą ssała zatrute, ostatnie uczucia konającego Wiłkina. Czułem ten jad padliny, jad podłości we wszystkich moich żyłach. Nie był to już dawny *weltschmerz!* Wtedy, dawniej wyczuwałem po za sobą ogniska święte i nietykalne znicze. Istniał dla mnie Janek, panna *Jagoda*, te bluzy, gunki, łachmany, a w owej chwili wszystko to w śmiech się obracało. Jeszcze chwila i z lekkiem sercem plunąłbym był na pamięć Janka... Alboż nie głupiec, alboż nie śmieszny głupiec? Jego los powinien być przestrogą i środkiem trzeźwiącym, a nie podnietą... Minąłem właśnie Krępę, brnąc środkiem piaszczystego gościńca. Za ogrodem folwarku ciągnie się kawał dzikiego trzęsawiska. Na suchych kępach w sitowiu i wodnym chwaście stoją gdzieniegdzie olszyny, a pośród nich widać kopiec i krzyż. Cały ten obszar otacza płot gnijący. Stare wrota pochyliły się, wlazły w miękką glebę, zabito je tylko na głucho bretnalami i zawalono tarniną. Przeskoczyłem płot i poszedłem ku krzyżowi. Ścieżka zginęła w zaroślach łopianu, pokrzyw i ostu, na rowie deska zgniła.

Stoi kopiec niewysoki pośród kęp gęstej olszyny i tarek, a rośnie na nim dzikie ziele i paproć. Na samym szczycie usycha krzak głogu dzikiego, dawno przez kogoś posadzony i oddawna przez wszystkich zapomniany. Przed kopcem, od strony gościńca wyciąga ramiona krzyż modrzewiowy z napisem:

wińskiemi. Ich charakter słowiński wykazują dowodnie dane statystyczne. Są krajami słowiańskimi nie dla tego, iż tak twierdzimy, ale dla ich położenia geograficznego, historyi, legend, przeszłości języka, etnografii i aspiracyi politycznych i narodowych.

Przez wieków pięć panowania Wenecyi, rzeczpospolita „la Serinissima“ nie potrafiła ich wynarodowić, wybrzeża są słowiańskie i kraj dalej od morza do morza leżący, choć tam podróżujący znajduje ślady świadczące zaszczytnie o cywilizacyi włoskiej. Tylko w miastach portowych mieszkają Włosi, kilka kroków od miast już w przedmieściach żyje naród słowiański, mający język i poczucie słowiańskie. Kraje te są fenomenem etnograficznym, zdolnym wędrowca obałamucić.

„Włochy nowożytne nie mają prawa do rewindykacyi tych krajów, ani na podstawie momentu historycznego, ani narodowego. Tylko szowiniści włoscy rozsiewają fałsze, że kraj ten należy do Włoch.

Zadar (Zara) i Tryest bywają nazywane basztami italianofilizmu, ale faktu nie zmieni, że żywioł włoski, przez nikogo nie zasilany, ginie, że prędzej czy później stać się muszą i te nawet miasta słowiańskiemi...“

* * *

„*Dnewni List*“ białogrodzki, należący do opozycyi, tak się rozpisuje o przesileniu ministeryalnem w Serbii:

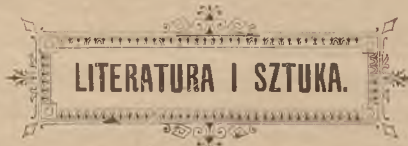
„Wieści o wybuchu ponownego przesilenia w łonie gabinetu nie zaskoczyły nas nieprzygotowanych. Wiemy o tem dość dawno, że obecny szef gabinetu syt jest rządów, bo się przekonał, jak marnemi były jego usiłowania zmierzające do zdobycia dla siebie zaufania wśród liberałów i postępowców, aby przy ich pomocy utworzyć ministerstwo neutralne... Jak Serbia Serbią nie było u nas takiego rozproszenia stosunków i anarchii, jak obecnie. Wszystkie okolice przepełnione są bandami hajduckiemi. Góry i dąbrowy rozbrzmiewają płaczem i skargami sierot, których ojców pomordowali rozbójnicy. Cóż powiedzieć o władzy takiej, która ucieka się do pomocy hajduków, aby ludzi jej nie sprzyjających zgładzić ze świata. Mamy fakty, że rząd hajduków używa jako swej władzy wykonawczej. Każe im za dnia mordować radykałów. Czyż można przypuszczać, że rząd skompromitowany w oczach całej ludności może się utrzymać u władzy? Prezes ministrów może dziennikarzom zagranicznym opowiadać co chce, jak silnie siedzi w siodle, ale kto zna stosunek naszego kraju, wie, że kraj znajduje się w położeniu beznadziejnem. To też dziś mamy nie tylko kryzę ministerstwa, ale tronu i dynastyi.“

* * *

Morawski „*Olomuneck* i *Pozor*“ rozpisuje się o smutnych stosunkach narodowościowych, panujących w północnej Morawii i zaznaczając ciągły postęp germanizacyi, tak pisze:

„Główną przyczyną naszego upadku i niepowodzenia jest brak organizacyi. Niemcy tutejsi mają najsilniejszą podporę w związku „Bund des deutschen Nordmährens“, który w miastach północnej części Morawii liczy tysiące członków. W miastach dzieje się u nas tak, że kupiec lub rzemieślnik czeski, mający odwagę przyznania się do czeskiej narodowości bywa izolowany. W mieście nikt z Niemców od niego nie kupuje. Niestety ludność wiejska wszędzie rdzennie słowiańska, nie odczuwa, jak w Czechach, potrzeby popierania swoich i kupuje u Niemców. Jest zaiste wstydem dla nas, że nie mamy ani jednego kółka rólniczego czeskiego, gdzieby można dla sprawy coś zdziałać. Aczkolwiek agitacya na wsi jest rzeczą najważniejszą, nie powinniśmy spuszczać z oka stosunków miejskich. W tym celu trzeba nam organizacyi odpowiedniej towarzystwa, któreby po miastach miało mężów zaufania. Mężowie ci powinni rozkazywać, gdzieby się mógł czeski rzemieślnik lub kupiec osiedlić, jak się to dzieje w południowej części kraju, gdzie agitacyą rozumnie zorganizowaną tak dodatnie osiągnięto skutki!...

K.



Wiązanki literackie.

(*Pisma Henryka Sienkiewicza. Tom XX.*)

W dwudziestym tomie pism Sienkiewicza znajdujemy kilka drobnych opowiadań i obrazków. Siła twórcza wyczerpana cyklem powieści historycznych, napisanych prawie jednym tchem, oraz głębokim utworem z zakresu psychologii współczesnej, jakiem jest „Bez Dogmatu“ — po dłuższym wypoczynku powraca do formy małej, ulotnej, a często uroczej, od której zaczynał autor swój zawód. A jakkolwiek piękne są niektóre z zestawionych w tym tomie rzeczy, nie mają one już ani tej świeżości uczuć, któremi się odznaczały utwory pierwszej doby, ani tej werwy i humoru, któremi nacechowana jest jeszcze „Ta trzecia!“

Różnica ta nie powinna nas dziwić a nawet smucić. Wszyscy niemal wielcy poeci przeżywali te dwa okresy twórczości: okres młodzieńczego zapału, w którym przelewając swoje gorące uczucia osobiste i społeczne, budzili również zapały w czytelnikach, a porywali ich nietylko gładkością formy, ile szczerością i siłą wyrażenia — bo dzieło sztuki wywołuje tylko takie uczucia z jakiemi było utworzone, — a nigdy na zimno rzeźbiony wiersz, chociażby najstaranniej obliczony, nie zdoła poruszyć czytelników przedmiotowością twórczości. Tak Göthe i Schiller mieli każdy swój czas burzy i zapędów i czas wydania *Goetza*, *Werthera* i *Zbójców*, oraz *Fiesca*, po których nastąpiły *Tasso*, *Ifigenia* lub *Wallenstein*; tak Mickiewicz utworzył w młodości *Wallenroda* i *Dziady* później *Pana Tadeusza*.

Ale w ostatnich utworach Sienkiewicza nie możemy dostrzedz ani owej klasycznej harmonii, wynagradzającej mniejszą siłę i świeżość uczucia, ani obojętności, charakteryzującej męzki wiek twórczości mistrzów poezyi. Przeciwnie, daje się tu widzieć coraz większy rozdźwięk między formą a treścią, coraz większa chwiejność stanowiska, a więc mniejsza przedmiotowość.

Dla czego tak jest?

Przyczyny nie należy szukać w wyczerpaniu talentu: przeciwnie, tam, gdzie talent ten staje na pewnym gruncie, jak w opowiadaniu „U źródła“ i tmp. świeci on całą dawną świetnością i blaskiem; ale harmonia klasyczna wytwarzająca się z porywczości młodzieńczej u wielkich poetów jest wynikiem pracy nad sobą i to pracy nie wyłącznie estetycznej, ale ogólnie filozoficznej: harmonia i równowaga formy osiąga się przez wyrobienie i ustalenie poglądu na świat, przez doprowadzenie do jednolitości ścierających się ze sobą wymagań uczucia i rozumu, przez odgraniczenie właściwe zakresów pewności i wiary filozoficznej — a przedmiotowość — przez głębsze odczucie tchnienia społecznego, przez przejęcie się celami ogólnemi i wyjaśnienie stosunku jednostki do ogółu, przez pewną rezygnacyą ze swojej osoby i zmalenie jej wobec wymagań i celów wyższych, powszech-

---

„Na cześć braci poległych za Ojczyznę w dniu 10 października 1794 roku.“

Odczytawszy te słowa, przypomniałem sobie dopiero, że stoję na miejscu maciejowickiego pogromu. Tędy nastąpiły na Europę i jej kulturę hordy kałmuków, pojmawszy w tem bagnie najlepszego, najczcigodniejszego jej obywatela i obrońcę. Bezcenna krew Tadeusza Kościuszki, którą na tem miejscu przelał, zawołała na mnie z ziemi. I krew tych „braci poległych“...

Z ostrym bólem w sercu i z płaczem dotknąłem ustami piasku mogiły. Nareszciem ją poznał, zrozumiał, co ona jest, i uwielbił na zawsze — tę Ojczyznę.

KONIEC.

Czy znajdzie?

(*Dokończenie.*)

Pewne zdziwienie wywołało to moje pytanie. Mówiłem po rosyjsku — starzec był Moskalem (dowiedziałem się o tem od służby). Starzec zezwolił na to, lecz dodał, iż dla tego tylko, że mówię jego językiem. Zasiadłem więc obok niego i starałem się wzrok mój dokładnie na punkt skierować, na który starzec cały się wpatrzył. Trudno — nie mogłem nic dostrzedz, drzewa z liśćmi trochę powarzonemi jesiennym rychłym szronem, a po nad niemi niebo spokojne, które *zaledwo* raz po raz ożywił ptak swym przelotem. Starzec nie zwracał na mnie uwagi, ja zaś kontemplacyi nie chciałem mu przerywać. Spokój ten dla mnie był sztywnym, męczącym; dla starca zdawał się być przyjemnym, godnym zupełnego zatopienia się w nim. Dla mnie był męczącym fizycznie, bo nic przyjemnego nie widzę, przy mem ruchliwem usposobieniu, siedzieć godzinami wpatrując się w jeden punkt. Nużącym był ten spokój dla mego ducha, bo ciągle we mnie nurtowała myśl, czego on szuka w tych wysokościach, co on tam widzi, czemu ja tego, co on niedostrzegłem. Zachód słońca zbliżył się, starzec wstał nagłym ruchem podał mi rękę i zapytał:

— Widziałeś pan, liczyłeś?

— Co? a tak, tak, istotnie — odpowiedziałem skonfundowany.

— Panu to sprawia przyjemność? za młody, za młody — do widzenia do jutra.

— Do widzenia do jutra.

— Pomyślałem sobie, iż jeżeli tak dni kilka siedzieć będę przy tym interesującym starcu zamienię się w indyjskiego derwisza. Postanowiłem mimo to wytrzymać, chociaż jedną jeszcze taką próbę, a potem prosić o wyjaśnienie tajemnicy dla mnie niejasnej.

Na drugi dzień to samo wpatrywanie w te same drzewa w to samo niebo. Przy odejściu to samo pytanie, - widziałeś pan? — liczyłeś?

— A tak, lecz zmyliłem się w liczbie — odrzekłem na chybił traf, chcąc starca wciągnąć do rozmowy.

— O liczbę nie chodzi, lecz spadło ich bardzo dużo. Dużo nawiędło tej nocy.

— A tak, nawiędło — powtórzyłem jak echo — chociaż niczego jeszcze się nie domyślałem. - Lecz dlaczego nawiędło? dodałem, aby utrzymać wątek rozmowy.

Zaśmiał się skrzypliwie z goryczą.

— Młody pan jesteś, niedoświadczony — czyliżbyś nie miał wiedzieć, że od szronu więdną liście i spadają.

niejszych. Słowem przez filozoficzne i społeczne wykształcenie, przez pracę wychowawczą nad sobą w kierunku etyki osobistej i społecznej, przechodzi poeta w okres klasyczny.

W najnowszych utworach Sienkiewicza, jakkolwiek oddalonych znaczną przerwą czasu od poprzedzających, nie znać jeszcze owocu takiej pracy nad sobą. Zagadnienia filozoficzne są dlań wciąż nierozerwalnemi znakami zapytania, przerzucającemi go ustawicznie od sceptycyzmu do naiwnej wiary i każącemi szukać sztucznego ukojenia w zewnętrznych czynnościach obrzędowych (że przypomnę tu tylko „pacierze wieczorne“ Połanieckiego); jeszcze gorzej jest ze społeczną wiarą autora. Porwany chwilowo pod potężnym tchnieniem budzącego się powszechnie ducha demokratycznego w jego wiry (*Szkice węglem, Listy z podróży*) przeniósł on stopniowo sympatye swoje do wprost przeciwnego obozu; smutny to objaw, z którego jednak nie możnaby było robić zarzutu autorowi, jako poecie, gdyby nie był wynikiem głębszej przyczyny bezwarunkowo ujemnie oddziaływającej i w tym zakresie. Oto w bohaterach jego z najnowszej doby widzimy zawsze pielęgnowanie swojej drobnej osóbki, zawsze noszenie się ze swojem „ja“ i jego malemi miłościami i nienawiściami, mierzenie wszechświata tą maluczką miarą własnej osoby. Żadnego poczucia szerszych zadań, żadnego wzniesienia się nad ciasny widnokrąg osobistego i codziennego życia.

Takie zaś zacieśnienie widnokręgu nie może nie obniżać wartości utworów poetyckich. Miłość „Jasia“ do „Kasi“ i „Kasi“ do „Jasia“ chociażby najpiękniejszemi wyśpiewana tony będzie zawsze tylko o Numie i Pompiliuszu, która może być uroczą sielanką, jak niejedna dana przez Sienkiewicza, lub mniej więcej tragicznym melodramatem, ale nie sięga po laury należne „Dziadom“ i „Werterowi“.

Wielkim poetą może zostać tylko myśliciel wrażliwy na tchnienia swego czasu, a wielkie dzieło odbija zawsze ideę historyczną epoki. I na tle miłości osobistej może wykwitnąć coś wielkiego, jak dowodzą najlepiej dwa ostatnie nazwane utwory, ale trzeba, żeby kochankowie byli czemś więcej niż kochankami tylko, żeby ich osobiste uczucia odzwierciedlały jakiś prąd rewolucyjny i postępowy chwili bieżącej, żeby ich rozpacz była krzykiem zgrozy, odbijającem się echem w sercach milionów. W takim położeniu jest Werter i Gustaw; są oni rewolucyonistami pojęć społecznych chociaż występują pozornie tylko jako nieszczęśliwi kochankowie.

Cóż za wspaniałe dzieło mógł stworzyć tak potężny talent jak Sienkiewicz, gdyby mógł zadosyć uczynić temu warunkowi! Tymczasem otrzymujemy tylko paczkę drobiazgów, ale i w tej paczce są perły, z których jedna by wystarczyła na ozdobę korony poetyckiej wielu i wielu aspirantom do Parnasu.

Do takich należą: „*U źródła*“, „*Organista z Ponikły*“, *Lux in tenebris lucet*“ i „*Pójdźmy za nim*“.

„*U źródła*“ to prześliczna sielanka miłości zakończona zresztą zgrzytającą nutą rozdźwięku pomiędzy ideałem i rzeczywistością: dysonans ów — to hołd spłacony pesymistycznemu usposobieniu, którego nie spotkamy n. p. w pierwszej „Sielance“, a zarazem świadectwo, że autor nie doszedł do takiego zharmonizowania obu dziedzin, jakie znajdujemy w klasycznych okresach wielkich mistrzów. Treść tu bardzo prosta, młodzieniec świeżo ukończywszy uniwerstytet, prosi sprzyjających mu rodziców panny, która mu sprzyja również, o jej rękę..... i dostaje odkosza z oburzeniem, że śmiał sięgnąć za tak wysokie progi...!

Nagle scena odmienia się całkowicie: ojciec panny przychodzi i przeprasza go. Rodzice w swoim egoiźmie przerachowali się i chcąc za wiele dla swej jedynaczki, zapomnieli, że to jedno, czego potrzeba „według słów Chrystusa do Marty“, stanowi wszystko: bo myśląc o jej szczęściu, zapomnieli zasięgnąć jej zdania. Szczęściem przypomniało się im, że co dla nich za mało, to dla Toli może być właśnie dosyć... I zaczynają się urocze chwile narzeczeństwa — cały poemat szczęścia, poemat, złożony z luźnych epizodów, z których każdy jest cudowny... na drugi dzień po ślubie budzi się wreszcie pacyent z gorączki, w której prześnił ten sen szczęścia.

Smutne i połowiczne pojednanie pragnień serca z rzeczywistością, które w poprzedniem opowiadaniu uskutecznia się przy pomocy snu, a zrywa się z przebudzeniem, w „Lux in tenebris lucet“ wykonywa wizya przedśmiertna, przynosząca schorzałemu i osamotnionemu rzeźbiarzowi lekki zgon. Chory i opuszczony od wszystkich zasypia Kamionka i pod wrażeniem słów stróżki, która mu tego wieczora doradziła wziąć zakonnicę „bo siostra i nic nie kosztuje i najlepiej każdemu wygodzi“, śni, że siedzi koło jego łóżka zakonnica, której twarzy z początku nie widzi. Chce mu się ją zobaczyć i zdaje się, że jest znajoma, ale „nie śmie ani odezwać się, ani odetchnąć. Czuł tylko, że uczucie strachu, a zarazem radości obejmuje go coraz bardziej, coraz silniej i ze zdumieniem pytał sam siebie: „co to jest?“

Tymczasem jakieś cudowne światło napełnia pracownią; biały kornet zakonnicy zamienia się w promienną glorye, ona obraca ku niemu twarz i Kamionka poznaje swoją zmarłą oddawna Zosię.

— Nie zapomniałeś o mnie, mówi żona, więc uprosiłam ci lekką śmierć.

— Jam gotów umrzeć, odpowiada Kamionka, byleś została przy mnie.

— Tyś już umarł, patrz tam!...

Kamionka spojrzał w kierunku jej ręki i przez okno w pułapie ujrzał wnętrze swojej pracowni, a w niej na łóżku swój własny trup.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

IV.

12go kwietnia zastał p. Koźmian w redakcyi „*Czasu*“ depeszę o manifeście cara zapowiadającym amnestyę i prowadzenie dalsze organizacyi Królestwa, pod warunkiem złożenia broni przed 13 Maja.

Spojrzał p. Koźmian na p. Szukiewicza, członka redakcyi „*Czasu*“, a p. Szukiewicz spojrzał na p. Koźmiana, bo „zrozumieli, że nadeszła chwila stanowcza“. Drzwi się otwarły, weszli Adam Potocki i Henryk Wodzicki. Przyszli zapytać się, co „*Czas*“ w obec amnestyi zamierza uczynić. Obaj uważali amnestyą za „opatrznościowe wyjście z położenia“. Ale p. Koźmian bardzo słusznie zauważył, że „*Czas*“ za przyjęciem amnestyi przemawiać nie może, bo nietylko narazi się na zarzut samozwańśtwa, ale głos jego będzie bezskuteczny. Gdy Koźmiana poparł Szukiewicz, Adam Potocki zawołał: „Na wasze głowy spadnie krew, która odtąd wylaną zostanie“ — i wyszedł.

Co tu robić? Jest jeszcze czas (bo to była niedziela) „można jeszcze w jednę lub drugą stronę stanowczy napisać artykuł“. Chodził więc p. Koźmian po plantacyach i myślał, ale nic wymyślić nie mógł. Na domiar nieszczęścia L. Wodzicki i St. Tarnowski wyjechali na wieś?

Ano, niech poradzi Wincenty Kirchmajer, właściciel „*Czasu*“. Poszedł do niego p. Koźmian i rozmawiali długo. Podczas rozmowy nadszedł telegram zawierający słowa: „Noty mocarstw odeszły do Petersburga“. P. Koźmian był uratowany — stanowisko „*Czasu*“ było przesądzone. Amnestyi w chwili wręczenia not mocarstw zalecać było niepodobna. Wyszedł nad-

---

— A tak, tak, odrzekłem zadziwiony — lecz niewiem, dla czego my się tak wpatrujemy z takiem zajęciem w spadanie liści?

— Nie wiesz, gaspadyń, a wpatrujesz się? To czemu się wpatrujesz?

Istotnie, słuszne zapytanie przyznałem w duchu. „Wpatruję się, bo uważam to za rzecz pożyteczną — odparłem.

— Samo wpatrywanie nie przynosi korzyści, liczenie również nie, — odrzekł starzec, — lecz myśleć trzeba, porównywać, rozważać, przypominać, stare rany rozdrapywać, gryźć się wewnętrznie, urągać ludziom, sobie, wszystkiemu, mówił z jakimś dzikiem zapałem. Zadyszył się. Po chwili ciągnął dalej.

— Czemuż się wpatrujesz w liść spadający jesienią, jeżeli nie umiesz przywiązać do tego znaczenia. U mnie każdy liść to jedno uczucie, zamiar, myśl, marzenie, ideał — ech, zawołał z jakimś rozpacznym jękiem w głosie, liście spadające wszystkich drzew całego świata nie starczą liczbą na uczucia, zamiary, myśli, marzenia, ideały, przez szron życia, przez ludzi zwarzone.

— Przyjdź jutro będziemy znowu patrzeć i ty się nauczysz patrzeć z myślą na liść spadający. Jeżeli się teraz nie nauczysz, to nauczy cię życie. Do jutra.

— „Do widzenia!“ On musiał strasznie cierpieć — heureka — życie jego musi być przedmiotem do mej noweli.

Trzecie rozpoczęło się posiedzenie...

Patrzyłem uważnie na liście spadające, istotnie przyznaję, że szukając w wspomnieniach niejeden zapomniany i przebolały zawód sobie przypomniałem. Nie sprawiało mi to przyjemności, jedno zrozumiałem, że przy takich rozmyślaniach dojść można do pesymizmu bezgranicznego. Bo chociaż my sami w większej części jesteśmy winni, iż nadzieje nasze się nie spełnią, jednakże często z prawdziwej lub urojonej przyczyny przypisujemy winę innym okolicznościom, wmawiamy w siebie, iż nieszczęście nas prześladuje.

Wpatrywałem się dalej i dostrzegłem listek, który na słabym tylko wisiał włókienku, chwiał się w lekkim wiatru podmuchu, lada chwila on odczepi się, spadnie. Może tak runie moja nadzieja! Mimo woli przyszedł mi na myśl mój stosunek do panny Klary. Listek nadziei wisiał na pajęczej tkance. Sztucznie utrzymywałem go, aby nie zerwało się to włókienko, które nas wiązało. Moje oświadczyny lub szczęśliwy rywal gotów zerwać tę tkankę. Wiatr zerwie włókienko, listek spadnie ku ziemi, spocznie pomiędzy pożółkłemi towarzyszami. — A cóż się stanie zemną, gdy moja nadzieja runie. Zaczynałem zatapiać wzrok mój z wytężeniem w chwiejący się listek, a myśl moja wiązała się coraz silniej w przypuszczeniach, co się stanie, gdy utracę pannę Klarę. Zaduma moja równała się najzupełniejszej nirwanie.

Śmiech srebrny, trochę szyderczy przerwał mi to rozmyślanie szarpiące duszę na strzępy. Spojrzałem! Co to? —

— A cóż to? Czy pan chcesz przebić niebiosa swym wzrokiem. Już chwilę obserwuję pana. Co pan robisz?

— Ja pani — ja — odrzekłem nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, co się stało — ja listki liczę spadające.

Śmiała się serdecznie, ach tak serdecznie, że i mnie jej uśmiech porwał, a i matka obok niej stojąca trzęsła się od śmiechu. Poważny starzec obok mnie został oburzony — pierwszy to raz pewno przerwano mu jego zadumę. — Straciłem na zawsze jego zaufanie — czułem to — lecz cóż to mnie obchodziło. Przedemną stała różana, wesoła, szczęśliwa, opromieniająca mię swą pięknością panna Klara. Rzuciłem się ku niej, wpiłem się w jej rączki, całowałem ręce matki jej. Pytałem skąd, co i jak, z ponurej zadumy wpadłem w ekstatyczną radość. Zarzucałem uśmiechnięte panie zapytaniami, nie czekając odpowiedzi.

— Co się z panem dzieje? zapytała panna Klara — najpierw jakaś zaduma, oderwanie się od świata, w którem nawet nas nie raczyłeś spostrzedz, teraz znowu chaos zapytań — na które przecież nie łatwo odpowiedzieć. Powołuję pana do porządku, wyglądasz pan, jakbyś pan nie widział od lat długich ludzi, a teraz na ich widok szalejesz z radości.

zwyczajny dodatek do „*Czasu*“ w którym „*Czas*“, czyli p. Koźmian, amnestyi nie przyjmował. W numerze wtorkowym tego pisma we wstępnym „szablonowym“ artykule uzasadniał to nieprzyjęcie manewrem Rosyi, pragnącej za pomocą amnestyi przemienić sprawę polską w kwestyą wewnętrzną. Noty mocarstw stawiają ją natomiast na europejskim gruncie. Trzy rządy będą czekały rezultatu w dniu 13 maja. Złoży naród broń, mocarstwa się cofną, nie złoży, nie zdadzą sprawy polskiej na łaskę cara.

Skutki tego postąpienia p. Koźmiana były jak on sam nazywa „opłakanemi“, ale sądzi, że “trzebaby mieć chyba nadludzki rozum i siłę aby inaczej postąpić“. Była to chwila równie stanowcza, jak kiedy ks. Metternich jechał do Wiednia z planami Napoleona. „Zawiniłem!“ woła p. Koźmian. Udzielamy mu zupełnego rozgrzeszenia. Czyżby bowiem na seryo sądził, iż artykuł jego w „*Czasie*“ za przyjęciem amnestyi byłby zakończył powstanie? Co najwyżej *grono krakowskie* wraz z garścią konserwatystów powróciłoby do „swych zatrudnień“. Cóżby to był za ruch narodowy, cóżby to było za powstanie, które składa broń na rozkaz jednego dziennika, a w tym wypadku na rozkaz p. Koźmiana. Jaki był Rząd Narodowy, taki był, ale tylko jego głos zostałby wówczas wysłuchanym. I dlatego też z czystem sumieniem odpuszczamy niepopełnioną winę p. Koźmianowi.

W następnym rozdziale IX przedrukował naprzód p. Koźmian swój programowy artykuł z dnia 16 kwietnia. Kładł w nim nacisk na to, że każde z trzech mocarstw ma w rozwiązaniu sprawy polskiej swoje interesa. Wykreślenie jej z rzędu kwestyi europejskich nie odpowiada widokom Anglii, bo rozwiązałoby ręce Rosyi w kwestyi wschodniej i utorowało drogę do przymierza francusko-rosyjskiego. Austrya przez restauracyą Polski odsunęłaby niewygodnego sąsiada, który chcąc rozwiązać na swą stronę sprawę wschodnią naprzód na nią uderzyć by musiał. Francya zyskałaby sprzymierzeńca, a Francya napoleońska znalazłaby odwet za Waterloo. Europa cała zyskałaby spokój.

Z trzech not angielska była najgoręstsza, francuska umiarkowana, austryacka najbledsza. Wszystkie żądały od rządu rosyjskiego postawienia Polski w warunkach trwałego pokoju. Odpowiedzi Gorczakowa były umiarkowane, nie wykluczały potrzeby porozumienia się, ale wskazywały, iż wiara w obcą pomoc jest głównym powodem trwania powstania. Odpowiedzi mocarstw, znane zresztą tak samo jak i pierwsze noty i odpowiedź Gorczakowa, stawiały pewne punkta: amnestye, reprezentacyę i administracyą narodową, wolność sumienia, używanie języka polskiego, zaprowadzenie regularnego systemu rekrutacyjnego. Wszystkie napomykały o konferencyi mocarstw podpisanych na traktacie 1815 r.: angielska dodawała jeszcze zawieszenie broni.

Na to ostatnie życzenie nalegał *Hotel Lambert;* Anglia je popierała, sądząc, że Rosya nie zgodzi się na nie, a tem samem zostanie potępiona przez Europę.

Ks. Czartoryski wymagał też od Rządu Narodowego, aby przystał na zawieszenie broni.

Gorczakow 13 lipca wysłał ową powszechnie znaną, a zdumiewającą swym tonem zuchwałym odpowiedź na noty trzech mocarstw. Interwencya okazała się zgubną, bo będąc bezskuteczną obraziła tylko dumę narodową Rosyi. Wszyscy jednak na razie sądzili, że będzie ona skuteczną. Podobno tylko Wielopolscy, ojciec i syn, nie mieli w nią wierzyć. White, ówczesny konsul angielski w Warszawie, widząc w Zygmuncie Wielopolskim brak wiary, żeby interwencya dyplomatyczna zamieniła się w skuteczną, odrzekł: Ba! ba! trzy mocarstwa nie posuwają się do takiego kroku, aby nic nie uzyskać i nic nie zrobić“.

V.

Każde obszerniejsze sprawozdanie powinno zapoznawać nietylko z treścią omawianego dzieła, ale zarazem i z tokiem, sposobem opowiadania autora. Z tego powodu szliśmy dotychczas krok w krok za p. Koźmianem. Dalsze streszczanie *Rzeczy* w ten sposób rozszerzyłoby tylko ramy recenzyi bez pożytku dla jej czytelników. Wiedzą oni dobrze o co p. Koźmianowi chodzi i jak to, o co mu chodzi przeprowadza. Odtąd zatem w więcej ogólniejszym zarysie podamy treść książki, kładąc tylko nacisk na bardziej interesujące szczegóły.

Powstanie trwało dalej. Obudziło się na nowo i na Litwie, pojawiło się i w prowincyach zabranych. 10 maja *Tymczasowy rząd narodowy* ogłosił się stałym *Rządem narodowym.* Na ogłoszoną przez cara amnestyą nie zwrócono nawet uwagi.

Oddziały uzbrojone wychodziły z Galicyi; garnęła się do nich młodzież. Senat akademicki krakowski wydał „piękną“ odezwę do młodzieży, starając się ją powstrzymać. Julian Dunajewski, profesor uniwersytetu, a przyszły minister, należał „do bardzo wyjątkowych ludzi: nie zachwiał się w swojem zdaniu o zgubności powstania, potępiał je głośno, nie wierzył w pomoc zagraniczną. Kiedy razu pewnego mówił w tym duchu z jednym z uczniów uniwersytetu, ten mu odpowiedział, że nawet rząd austryacki nie przeszkadza werbunkowi do oddziałów. Dunajewski spotkawszy Augusta Merkla, naczelnika komisyi namiestniczej w Krakowie, a jednocześnie płatnego przez rząd rosyjski za doniesienia o ruchu oddziałów, wyrzucał mu, iż kiedy Senat odwodzi młodzież od powstania, pod okiem władz odbywa się do niego werbunek. Merkel zmieszał się i rzekł: „bo rząd przecie raz już powinienby powiedzieć jasno czego sobie życzy.“ Trudno rzeczywiście było odgadnąć czego chce rząd austryacki: kiedy jednych aresztowano, drugich wypuszczano. Aresztowanie ks. Adama Sapiehy największe czyniło wrażenie. Po wybuchu prochu przy wyrabianiu ładunków w Krakowie, przy którym nie obyło się bez ofiar w ludziach, policya wydała w tak grzecznych słowach ostrzeżenie, iż wyraźnem było z niego, że zaleca tylko przezorność, a nie zabrania przygotowania ładunków.

W Galicyi istniała *Rada naczelna galicyjska*, której były poddane wszystkie *Lwy.* Nie miały one jednak, jak twierdzi p. Koźmian, żadnych poważnych stosunków, ani zaufania. Kiedy więc „ludzie poważni i starsi“ uznali potrzebę popierania powstania, a nie chcieli go powierzyć *Lwie*, postanowili sami zawiązać się między sobą. Była to organizacya prywatna. Należeli do niej na początku Józef Baum, późniejszy wiceprezes Koła polskiego w Wiedniu, Atanazy Benoe późniejszy prezes tegoż koła, Cesar Haller i Karol Rogowski należący wprawdzie do innego odcienia, ale mający wpływ na ruchliwych, popularność i „sławę wielkiego niby patryoty“ (słowa p. Koźmiana). *Grono Krakowskie* poprzestawało na przesyłaniu depesz i korespondencyi i dopiero kiedy po upadku Langiewicza przybył Jordan dla formowania oddziału, zbliżyło się do owego komitetu, do tej organizacyi prywatnej. Baum Jordana przyjął chłodno, bo jeszcze nie zawiązały się pomiędzy ową prywatną organizacyą z *Hotelem Lambert* późniejsze przyjazne stosunki.

Takaż sama organizacya *jawno-tajna* powstała we wschodniej Galicyi: do komitetu jej należeli początkowo Adam Sapieha, Ziemiałkowski, Aleksander Dzieduszycki i Franciszek Smolka, dopóki jak to już wiemy z niego nie wystąpił.

Organizacye te w każdym obwodzie miały jednego obywatela wezwanego do pomocy. Komitety ciągle się zmieniały co do składu osób, wskutek aresztowań lub wystąpień. Z powodu, iż organizacye te zawiązali ludzie albo bliscy *gronu krakowskiemu*, albo też już wówczas lub później zajmujący wybitne stanowisko, przeto p. Koźmian zaręcza, że nie był to „spisek“, nadaje organizacyi nazwę *jawno-tajnej*, jednem słowem jak może wykręca się, chce przekonać, iż konserwatyści i „poważni“ z innej byli ule-

---

— Ach! widziałem ja ludzi dosyć, lecz nie z Warszawy, nie Warszawianki.

— Tak pan tęsknisz za niemi.

— Tęskniłem — to wszystko teraz minęło. Racz teraz pani powiedzieć jaki cud panie tu sprowadził? — Zwróciłem zapytanie nie do matki.

— Takie samo ja panu stawiam zapytanie — odrzekła panna Klara za matką. Skąd pan tu się wziąłeś — a pisujesz korespondencye z Ostendy.

Wytłomaczyłem jej wszystko, przyczyny, powody — wiedziałem że nie była zadowoloną z mego tłomaczenia. Nie była zadowoloną, bo odrzekła mi na to: iż spodziewała się większej po mnie otwartości. Zasłaniałem się tajemnicą redakcyjną. Zdawała się być przekonaną o konieczności zachowania tajemnicy.

— Ja spodziewałem się, mówiłem dalej, że panie pod włoskiem niebem.

— Tak, miałyśmy tam jechać, lekarz radził Ostendę, mówiła mama panny Klary — Klarci, jednak życie w Ostendzie było zanadto ruchliwe i wybrałyśmy spokojniejsze wody na koniec sezonu.

— Przypadkiem, dokończyła z przyciskiem panna Klara, wybrałam S.

Zaczęły się dla mnie dni rozkoszne, zapomniałem o starcu, o redaktorze naczelnym, o noweli, wyszukiwałem czas, bo za dni kilka miałem wyjeżdżać.

Byłem swobodny jak nigdy. Uśmiechnięty, drwiący papa panny Klary mglisto zaledwo mi się przypomniał.

Panna Klara nic się nie zmieniła, może trochę więcej była zamyślona, ton jej był jakiś czulszy. W jednej z naszych rozmów częstych sam na sam zapytała mię o przyrzeczony poemat. Nie był napisany.

— Cóż więc pan tu robiłeś? Przecież pańskie korespondencye z Ostendy, które przyznaję są jak na takiego, co Ostendy nigdy nie widział wcale dobre, nie zajęły panu całego czasu. Czy pan przez cały czas opadające listki obserwował ś — zapytała złośliwie.

— A gdyby pani wiedziała w jakich byłem, a niestety i jeszcze jestem w tarapatach. Szukam tematu do noweli, którą dla pisma dostarczyć muszę; szukałem i nie mógłem znaleźć. Starzec ów, którego pani koło mnie spostrzegłaś miał mi go dostarczyć. Chciałem z jego fizyonomii wyczytać, trochę przez podpytanie dowiedzieć się o koleji jego życia, a że on mazwyczaj obserwowania listków spadających, więc i ja to czyniłem. Interesujące studyum!

— Przyznaję, że gdym panów spostrzegła, obie mumie, jedna stara druga młoda były dlamnie studyum interesującem, — odrzekła wesoło panna Klara. Lecz widziałam z jakiem oburzeniem zerwał się nieznajomy, obraził się pewno moją wesołością. Studyum stracone! Jaka szkoda!

— Och nie żałuję, bo przecież mam panią — zawołałem.

— A — więc ja mam służyć za studyum do noweli — proszę! egoizm impertynencki! odrzekła niby z urazą.

— Pani za słówka mnie chwyta. Studya niech pozostaną studyami, obecność daje mi zapomnieć o wszystkiem. Zresztą mam kilka pomysłów spisanych, może nie świetne one, lecz nowelka się skleji.

— Proszę o nie — daj mi je pan do osądzenia.

Chętnie, lecz nie mogę.

— Z jakiego powodu.

— Z pomysłami memi pomięszane są różne refleksye, myśli, marzenia, które dla pani nie uważam za stosowne.

— Zola z pana się zrobił, dobrze o tem wiedzieć, że pan spisujesz pomysły, których dorosłej pannie czytać nie wolno.

— Ależ broń Boże, nic tam nie ma w tem zdrożnego — dziecku można dać do czytania, lecz ja nie mogę — nie mogę pani jednej dać ich do czytania.

— A więc to może złośliwe uwagi o mnie.

— Jakżeż pani tak sądzić możesz.

— Nie przekonasz mię pan, jestem upartą, już jednej mej prośby pan nie spełniłeś — nie napisałeś wiersza — przy tej obstaję, ja chcę zapoznać się z pańskiemi głębokiemi pomysłami, chcę poznać pańskie refleksye, z góry

pieni gliny. Po co wszystko, kiedy fakta temu zaprzeczają. Jeżeli *Ława* była spiskiem, to i komitety były spiskiem — tak samo się kryły, tak samo tajnie się organizowały.

Pomiędzy komitetem krakowskim a Rządem narodowym warszawskim panowała nieufność. Rząd uważał *Ławy* za swoje, a ludzi z komitetu za intruzów. Dodajmy: ze swego stanowiska, miał słuszność zupełną.

Rada naczelna galicyjska rozwiązała się. „Rzecz godna zapisania: po upadku Langiewicza ludzie z Rady naczelnej galicyjskiej, oświadczyli się stanowczo za zakończeniem powstania. A my to (dodaje p. Koźmian) wobec widoków zewnętrznej pomocy nie chieliśmy już teraz tego zakończenia.“ *) Przyznanie nadzwyczaj celowe. P. Koźmian dziś uważa przedłużanie powstania za zgubne. I otóż ci „szaleńcy“, ci „bezrozumni“, którzy stanowili *Radę naczelną galicyjską*, a których nawet nazwisk p. Koźmian nie podaje, przyszli do rozumu, — a ci „lepsi“, rozsądni, stateczni, patryoci „słowem tak zwani konserwatyści“.... rozum potracili.

*) Poświadcza to A. Szczepański w broszurze „Po burzy“ 1880 str. 14).

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Józef Bliziński.

(Adam Dobrowolski: Józef Bliziński. Zarys biograficzno-literacki. Kraków 1894., 8 str. 107).

Drukowany w skróceniu niedawno w „Ateneum“, a obecnie w całości osobno wydany (nakładem „Świata“) powyższy „zarys biograficzno-literacki“ jest o ile nam wiadomo, pierwszą większą pracą młodego dziennikarza p. Adama Dobrowolskiego. Zarys ten świadczy bezsprzecznie o wielkiej łatwości pisania i umiejętności pogodzenia poważnego przedmiotu z lekką i swobodną formą, co u młodego pisarza jest niewątpliwie godną uwagi i — pochwały zaletą. Pan Dobrowolski traktuje postać i działalność Blizińskiego z niekłamanem zamiłowaniem. W sposobie opowiadania o życiu znakomitego autora „Rozbitków“, o głównych momentach jego twórczości, widnieje szczere uwielbienie dla poety i człowieka i sympatyczne odczucie jego duchowego znaczenia. Powiadamy „odczucie“, a nie zrozumienie; studyum p. D. wykazuje bowiem znacznie mniejszą dozę surowego krytyzmu w porównaniu z entuzyastycznym niemal — jakkolwiek zupełnie usprawiedliwionym — zapałem dla charakteryzowanego poety i staje się miejscami raczej apologią jego działalności publicznej i prywatnej, aniżeli jej oceną krytyczną. — Nie myślimy bynajmniej czynić z tego zarzutu autorowi „Zarysu,“, konstatujemy jedynie fakt. Zbyt bliską nam była postać znakomitego komedyopisarza, zbyt dotkliwie uczuć nam przyszło przedwczesną i nagłą jego stratę, abyśmy mogli teraz już myśleć o poważnym rozbiorze jego utworów scenicznych. Raczej potrzeba nam było widzieć tę sympatyczną, wysoce utalentowaną, a zarazem tak niezwykle skromną postać oświetloną jasnym promieniem prawdziwie odczutego uznania i podziwu. Dla wielbicieli talentu Blizińskiego i dla tych wszystkich, którzy uznali go najwybitniejszym po Fredrze komedyopisarzem polskim, była to po prostu potrzeba serca. Tej to potrzebie uczynił zadość w zadawalniający zupełnie sposób p. Dobrowolski. Kto z utworów Blizińskiego nauczył się cenić talent i stanowisko autora „Chwastu“ w literaturze, ten dopełni sąd swój o nim, jako człowieku — ze studyum p. Dobrowolskiego; znajdzie w niem bowiem wiele szczegółów rzucających na postać cichego i wielkiego pisarza nadzwyczaj sympatyczne światło. Komu zaś obcym pozostał wielki talent Blizińskiego, to go rozprawka p. Dobrowolskiego niezawodnie lepiej i trafniej pouczy o znaczeniu tej wybitnej w literaturze naszej postaci, aniżeli wszelkie dziennikarskie oceny i recenzye. Główną atoli zasługę p. D. upatrywać należy w tem, że w rozprawce swojej zgromadził znaczną ilość szczegółów ze źródeł jemu tylko dostępnych i w ten sposób, nie roszcząc sobie pretensyi do dokonania głębokiego i wszechstronnego rozbioru twórczości Blizińskiego (na co jeszcze zawcześnie), dostarczył przyszłym krytykom genialnego komedyopisarza sporo materyału do gruntownego i sprawiedliwego ocenienia jego niespożytego talentu i indywidualności.

Dr. Ign. Sue...



KRONIKA KRAKOWSKA.

30 października.

(Obsadzenie biskupstwa. Fundacya hirszowska. Związek chłopski. Kraków w budżecie ministerstwa oświaty. Miscelanea.)

Nieraz już wskazywałem, że dzienniki nasze nie grzeszą szybkością informacyi. Dowód na to najświeższy podałem w zeszłej korespondencyi, pisząc o Pochwalskim jako o kandydacie na dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych. O tej kandydaturze dowiedziały się nasze dzienniki w trzy czy cztery miesiące później, niż czytelnicy waszego „Przeglądu“. Coś podobnego stało się i z kandydaturą ks. Puzyny, biskupa-sufragana na biskupa krakowskiego. Przed dwoma miesiącami twierdziłem, iż kandydat ten przez rząd upatrzony, wzdryga się przyjąć proponowanego mu dostojeństwa, a dopiero onegdaj o tem „wzdraganiu się“ doniosły nasze pisma. Swoją drogą może być, iż podają one fakt nowy, może być, iż ks. Puzyna, który z początku się wahał i nareszcie ustąpił naleganiom, dziś na nowo oświadczył, że woli pozostać na swem stanowisku. Jeżeli tak jest, to wiadomość tą może nosić markę nowości, ale bardzo wątpliwymi wydawają mi się przytaczane przez dzienniki kandydatury, z wyjątkiem ks. Łobosa, biskupa tarnowskiego, którego jako bardzo poważnego kandydata traktować należy.

Rzadko też spotykam w naszych pismach wzmianki o fundacyi hirszowskiej dla żydów galicyjskich, a przecież źle, bardzo źle się z nią dzieje. Komitet wiedeński zrobił zamach stanu i ograniczył atrybucją komitetów lwowskiego i krakowskiego. Dokonana w ten sposób centralizacya przynosi już szkodliwe owoce. Zaprowadzono w administracyi język niemiecki jako urzędowy. Chłopców, których oddawano na naukę do miejscowych rzemieślników i rękodzielników, wysyła komitet obecnie do Niemiec. Nawet kandydatów do stanu rolniczego nie pozostawia w kraju, lecz ich również na praktykę do Niemiec oddaje. Jednem słowem germanizacya fundacyi jest już faktem dokonanym, a instytu-

---

przebaczam co o mnie niekorzystnego pan napisałeś. Starczy to panu?

Na chwilę zabłysnął w mej myśli drwiący, uśmiechnięty papa fabrykant. Oddać jej mój pamiętnik znaczyło tyle co oświadczyny.

Siedzieliśmy na tej samej ławce, na której z starcem mym robiłem obserwacyje — szukałem listka, pająk oprządł go siatką, chwiał się w srebrnej oponce silnie umieszczony. A więc niech się stanie, pomyślałem! Listek dodał mi otuchy, jeszcze nie odpadł.

— Dobrze — odrzekłem — lecz najpierw za skutki nie odpowiadam, a powtóre otrzymam od pani jej pamiętnik. Wyczekiwałem z niecierpliwością odpowiedzi.

— A gdybym powiedziała — rzekła po namyśle, że go niemam z sobą.

— Nie uwierzę! — odparłem żywo.

— A więc dobrze, odrzekła po pewnem milczeniu, lecz i ja za skutki nie biorę odpowiedzialności. Pamiętnik przyślę i proszę mi swoje przesłać refleksye — adio! i odbiegła.

Czytałem jej pamiętnik. Więc jest prawdą to, co przypuszczałem, ona mi jest przychylną, nietylko przychylną, lecz mię kocha — rozumie moje powody, czemu nie staram się pozyskać jej ręki. Dowiaduję się z pamiętnika, iż wyraźnem okazaniem przychylności chce mię ośmielić, że wyjazd jej do Ostendy w tym był zamiarze podjętym, że dowiedziała się, gdy mię w Ostendzie nie zastała, wprost od redaktora o mym tu pobycie. Ona mię musi kochać bardzo, gdyż nie powierzyłaby mi tajemnicy swego serca. Ubóstwiana moja! Jak szczęście me opisać, — Jestem tak wzruszony — że o porządnem myśleniu mowy niema. Szczęście moje jest za doskonałem. Jednej rzeczy nie zdołała się domyśleć, iż od oświadczyn powstrzymywał mię drwiący jej papa, o tem wszystkiem, z mych refleksyi się dowie. Jak tu jutra doczekać? — Usnąć? niema o tem mowy. Czy też ona śpi? Opanowała mię szalona radość — niewiem do czego w szale mym nie byłbym zdolny. — Cieszy mię naprzykład, iż jutro wystylizuję depeszę do naczelnego, w której doniosę mu, iż zamiast noweli przywiozę narzeczoną. Jakie będzie nasze spotkanie.

— Wiem, że nie będę mógł nic mówić —

Wstałem rychło — raczej wyszedłem rychło do ogrodu — bo nie spałem całej nocy — błądzę po ogrodzie, zamajaczyła mi misterna postać, ciepłym białem szalem udrapowana.

Już jestem u jej nóg, patrzę z zachwytem w jej twarzyczkę spłonioną — rączki jej drżące tulę w mej dłoni. „Panno Klarciu, Klarcio, moją jesteś, moją! — Zrywam się z ziemi, tulę ją do siebie tę wesołą, filuterną, sarkastyczną osóbkę. Jaka ona poddająca się, słaba. — Ty moja jedyna. — Dosyć — rzekła Klara — powiedz pan mamie. — Natychmiast — odpowiadam, mamie opowiem, papie, całemu światu. Uśmiecha się. — O nie zaraz, mama śpi — muszę wrócić.

— Klarciu — a ojciec pani co powie na to wszystko?

— Spytaj go się pan, odparła, — powiem panu tylko tyle, że wyśmieje pana — żeś pan był taki — taki.... nie kończy, uśmiecha się i frunęła.

Zamiast nowelę oddać redaktorowi, zabrałem go z sobą, by go przekonać, że w obec panny Klary trudno pisać nowelę, raczej woli się ją przeżyć. Staruszek tego samego był zdania.

cya, która mogła dodatnio wpłynąć w kierunku uobywatelenia jednostek żydowskich, na tej drodze na jaką weszła, staje się wrogą społeczeństwu. Donosiłem już poprzednio, iż komitet wiedeński zamknął szkołę stolarstwa i ślusarstwa, istniejącą w Krakowie we wzniesionym na ten cel budynku kosztem Arnolda Rappaporta. Budynek więc stał przez pół roku pustkami. Dopiero za inicyatywą kilku miejscowych osobistości szkoła ta na nowo wchodzi w życie. Dr. Rappaport zobowiązał się płacić na utrzymanie szkoły przez lat 10 po 7.000 złr. rocznie, a w razie, jeżeli szkoła odpowie przywiązanym do niej nadziejom, ma zapisać fundusz stały, z którego odsetki zabezpieczą na zawsze jej istnienie. Statut szkoły oddaje nadzór nad nią wydziałowi krajowemu. Na czele komitetu zarządzającego stanął dr. Michał Jehkeiser, adwokat krakowski, człowiek niezależny, zdala stojący od walki stronnictw i posiadający ogólną sympatyę. Wykład w szkole prowadzony będzie w języku polskim, a uczniowie jej będą się składali nietylko z młodzieży izraelickiej, gdyż statut dozwala na korzystanie z niej i młodzieży chrześciańskiej, pod warunkiem wszakże, iż ilością swoją nie przeniesie połowy uczących się.

„Związek chłopski" rozszedł się stanowczo z ks. Stojałowskim. Na walnem jego zgromadzeniu, odbytem w Nowym Sączu, poseł-włościanin Stanisław Potoczek przedstawił powody, dla których zerwał zarząd z ks. Stojałowskim ugodę, na mocy której wydawane przez niego pisma „Wieniec" i „Pszczółka" miały być organami Związku. Ks. Stojałowski wydrukował pierwszą połowę ugody; drugiej nietylko nie wydrukował, ale i uznać nie chciał. Umieścił natomiast swój „Syllabus", który spowodował protesty duchowieństwa. Pod firmą Związku, bez jego pozwolenia, urządził wiec stronnictwa w Krakowie. Wreszcie prowadził nieustannie polemikę z biskupami, przez co obniżał wśród ludu powagę religii. Wskutek tego Zarząd Związku założył własny organ p. t. „Związek chłopski". Po zdaniu sprawy przez posła Potoczka, zabrał głos ks. Stojałowski, ale choć długo i wymownie bronił siebie i pism swoich, walne zgromadzenie przychyliło się do wywodów zarządu i uznało „Związek chłopski" za organ stronnictwa. Po dłuższej dyskusyi zgromadzenie oświadczyło się też przeciw powszechnemu głosowaniu dla gmin wiejskich, a natomiast uznało za potrzebne wprowadzenie wyborów bezpośrednich. W końcu polecono zarządowi, aby starał się usuwać z pomiędzy kół włosciańskich pisma socyalistyczne, oraz „Wieniec" i „Pszczółkę" ks. Stojałowskiego. Zapewne głośnemu agitatorowi nie po myśli poszedł cały przebieg zgromadzenia. Wszak „Związek chłopski", to dzieło rąk jego; sądził, iż tą bronią zwalczy przeciwników i dopnie swoich celów, a tu broń przeciw niemu się obróciła i „rozbudzeni" przez niego chłopi jemu samemu iść spać kazali.

Z budżetu ministerstwa oświaty na r. 1895 wyjmuję kilka cyfr Kraków obchodzących. Na artystyczną ozdobę Uniwersytetu krakowskiego przeznaczono 10,000 złr.; jestto druga rata tej sumy, która miała iść na zakupno obrazów Matejki, za część jej zakupiony będzie jeden z prawie wykończonych już obrazów Matejki; część druga przeznaczoną zostanie na przyozdobienie gmachu uniwersyteckiego w inny sposób. Na zakupno domu Matejki wstawiono kwotę 5000 złr. Uniwersytet krakowski otrzyma na wystawienie oranżeryi zimowej 15,000 złr.; na oświetlenie elektryczne zakładu patalogiczno-anatomicznego 30,000 złr., na urządzenie tego zakładu również 30,000 złr., na budowę jego 50,000 złr. (rata piąta). na inne zakłady lekarskie 1500 złr., na przybory naukowe do zakładu fizycznego 500 złr. (pierwsza rata) na zakład archeologiczny 480 złr., wreszcie na powiększenie zbiorów historyi sztuki 400 złr. Na budowę szkoły realnej wstawiono drugą ratę w kwocie 60,000 złr. Szkoła przemysłowa otrzyma na wydatki nadzwyczajne 1270 złr. Prócz tego przeznacza rząd 3000 złr. na restauracyą krużganków klasztoru OO. Dominikanów. Jestto przyczynek tymczasowy, gdyż niewiadomo jeszcze, o ile miasto i kraj zechcą rozłożyć między siebie koszta na restauracyą tych krużganków i nagrobków w nich pomieszczonych.

Towarzystwo opieki nad uwolnionymi więźniami odbyło swe pierwsze walne zgromadzenie, na którem dokonało wyboru zarządu. Kasa oszczędności na wniosek dyrektora swego p. Ślęka. przeznaczyła 500 złr. na sprowadzenie „serum" środka przeciw dyfteryi, wynalezionego przez Dr. Behringa. — Składki centowe na restauracyą Wawelu wynoszą już 10,664 złr. — Michał Bałucki pisze powieść satyryczną dla „Kuryera Warszawskiego." — Sewer Maciejowski rozpoczął pisanie obszernej powieści p. t. „Teatr." — Przez parę dni bawiła w naszem mieście Helena Modrzejowska w przejeździe na występy do Lwowa. — Zakład kąpielowy w Rabce nabyty został przez Dr. Kadena.

K. Bartoszewicz.

OBRAZKI AMORSKIE

II.

Kształtny budynek z czerwonej cegły w najpiękniejszej dzielnicy Chicaga cały tonie w zieloności. To tymczasowy przytułek dla biblioteki imienia Newberry. Magnaci amerykańscy bywają szczodrzy. Ktoś, wzbogacony podniesieniem ceny gruntów miejskich, zapisał około 5 milionów rubli na założenie książnicy, któraby utrwaliła jego nazwisko. Gmach dla tej fundacyi jeszcze nie ukończony, ma zmieścić półtora miliona tomów; naturalnie urządzają go według najlepszych wzorów, jakie technika stworzyła w danym zakresie. Tymczasowo zaś przyszła instytucya osiedliła się w długim jednopiętrowym budynku, przed którym stoimy.

Niewielki pokoik na prawo od wejścia. Nie widzę żadnego urzędnika, książki — ściślej czasopisma oddano pod opiekę publiczności. Jest to czytelnia pism peryodycznych z zakresu wiedzy ścisłej, oraz jej zastosowań praktycznych. Zeszyty ustawiono w pułkach tekturowych. Publiczność — wejście otwarte dla każdego — bierze sama czasopisma z półek. Mimowoli przypominają mi się skrzynki pocztowe wzdłuż ulic. Nad niektóremi wiszą koszyki druciane. Nieraz można w nich widzieć posyłki i paczki — poczta sama je zapisze. nikt zaś z przechodniów nie wyciągnie ręki po to, co do niego nie należy.

Po drugiej stronie od wejścia czytelnia książek. Potrzeba mi przejrzeć pewne specyalne wydawnictwo antropologiczne, wychodzące w Ameryce. Udaję się do urzędnika. Okazuje się, że jest już po piątej i biuro zostało zamknięte. Nie odchodzę jednak z niczem, bo dostaję katalogi. Nadaremnie je przeglądam, nie mogę znaleźć odpowiedniego tytułu. Niema! Urzędnik jakby poczuwał się do winy, poczyna się tłomaczyć. Notuje tytuł książki i zapewnia, że w przyszłym tygodniu wydawnictwo będzie w całym komplecie, pojutrze bowiem przypada posiedzenie rady zarządzającej, on więc zawiadomi ją o braku owego dzieła.

— Ale może znajdę książkę w bibliotece publicznej — powiadam, niepewny czy zjawię się tutaj powtórnie.

— Nic to nie znaczy, powinniśmy mieć tę książkę!

Poczynamy rozmawiać o rozwoju nauki etnograficznej w Stanach Zjednoczonych. Bibliotekarz prowadzi mnie na górę, ażebym przypatrzył się działowi antropologicznemu; pokazuje książki, o których mogłem nie wiedzieć, wreszcie pozostawia mnie samego pomiędzy książkami. Nie mogąc doczekać się powrotu swojego *cicerone*, schodzę na dół i chcę mu podziękować. Niema go już bibliotece.

* * *

W wagonie kolejowym pomiędzy Buffalo a Rochesterem. Na jakiejś stacyi ktoś zajął

FRYDERYK SZOPEN.

FANTAZYA.

„Pieśni twych cudnych barwne ogniwo
Już się wieczystym snuć będzie ciągiem,
Ty w sercach naszych, co biją żywo,
I bez posągu będziesz posągiem".

Włodzimierz Wolski.

I.

Nad ziemią leżała piosenka. Gdzie zrodzona — ha, Bóg jeden wie. Może gdzieś, na łące poczęła się skargą skoszonego kwiecia, może wśród górskich przepaści powstała z jęku konającego orlęcia, potem powtórzyło ją echo, potem wiatr poniósł w doliny i z wichrem szła lasami i łanami zbóż. Leciała nad wioską, a w wiosce płaczem zawodziła dziewczyna po matuli, po rodzonej.... leciała gościńcem, a po gościńcu jechało wesele i bębny bębniły i ludzie się śmieli, drużbowie hukali na uciechę... szła lasem, a drzewa tam szumem wiosennym szumiały, nad mogiłami leciała staremi, a z mogił głosy jakieś wstawały ogromne.... i ze skarg połamanych kwiatów, z jęku pisklęcia, z płaczu sieroty, ze śmiechów ludzkich i z szumów leśnych, z głosów skowronków i z mogił starych gwaru, snuła się przędza piosenki coraz dłuższa i dłuższa, to śmiejąca, to żałosna, rozpłakana.

I szła nad polem, i szła nad rzeką, o zorzy rannej wstawała na roli, o zmierzchu letnim płynęła w powietrzu, i słyszały ją słowiki śpiewne, a żaden powtórzyć nie umiał, i słyszeli ją ludzie, a żaden nie wygrał, nie wyśpiewał całej, aż jeden ją usłyszał. W jasny wieczór majowy wleciała mu oknem, wleciała razem z wonią bzów i narcyzów wiosennych, i zawodzić jęła po swojemu. On podniósł głowę, a miał twarz bladą i smutną, choć młodą; piosnki-tułaczki słuchał długo, długo, a ona płakała i śmiała mu się na przemiany, to łkała żałośnie boleścią wielką a prostą, to zwodnica zmienna śmiechem wybuchała ochoczym i potem znowu poczynała smęcić się, a żalić, a wyrzekać, aż poleciała het, na pola i lasy.

Smutny młodzieniec podniósł się wtedy, rękę białą położył na klawiszach i z pod palców popłynęła mu ta sama płaczka polna, ta sama pieśń-zwodnica. Zadźwięczały w niej znowu skargi kwiatów kopytem końskiem zdeptanych i jęki piskląt wyrzuconych z gniazda i płacz dziewczyny i chłopców śmiechy i szmery puszcz i mogił szept. Ani jednego tonu tam nie brakło, wszystkie pochwycił artysta, dołączył jeszcze własnego serca ból i cudną, a dziwną poniósł w świat daleki.

I słuchają jej teraz obcy, a ona skarży się przed nimi nieznaną im mową. Ludzie przystają, dziwią się, rozpytują i choć obcy płaczą czasem z nią razem.

II.

W salonie p. Smith po raz pierwszy zebrało się towarzystwo tak świetne. Prócz kilku znakomitości z City, które zazwyczaj stanowiły ozdobę artystycznych wieczorów milionera, widzieć tam było można dzisiaj i paru młodych przedstawicieli starych rodów. Kilka koron hrabiowskich i jedna podobno mitra książęca zaszczyciły jednocześnie obecnością swą firmę „Smith i synowie". Stało się to za sprawą pani Smith, której umiejętność prowadzenia salonu i gorąca chęć uprzyjemnienia gościom swym chwil w domu jej spędzonych znane były i podziwiane w szerokich kołach. Jakiż to świetny pomysł naprzykład, to sprowadzenie do siebie znakomitego wirtuoza, którym cała Europa się zachwyca, a który wczoraj, tak wczoraj dopiero zawitał do Londynu. W salonie pani Smith sławny artysta da się słyszeć po raz pierwszy: później dopiero będą miały miejsce występy publiczne. To też nie dziw, że cały świat amatorów, melomanów stawił się z ochotą na zaproszenie uprzejmej gospodyni domu.

ławkę przedemną, dotychczas pustą. Zwykły to, starannie wygolony, yankee, w zwykłym też kapeluszu na głowie. Ale intryguje mnie niewielka szafeczka, którą widzę przy nim, zrobiona z drzewa jesionowego, około stopy wysoka, pół szeroka. Nosi na sobie Nr. 330. Podróżny otworzył ją: we wnętrzu dwie półki, zapełnione elegancko oprawionemi książkami. Zaciekawiony, podnoszę się ze swego siedzenia i, przeprosiwszy za natręctwo, czytam tytuły na grzbiecie tomów. Książki treści ekonomicznej, dobrane umiejętnie. Jest tam tomów 50: Gide, Ruskin, Marshall. Mill. Brentano, Gronlund — nie, niepodobna uczynić lepszego wyboru! Z rozmowy okazuje się, że jestem w obec jednej z osobliwości kultury zamorskiej — działu wędrownego publicznej biblioteki stanu nowojorskiego. Szafeczki takie krążą po całym stanie pomiędzy rolnikami. Są one jakby olbrzymią biblioteką, rozdzieloną na mnóstwo niewielkich, których przeznaczeniem jest wędrować po świecie. A wpisowe żadne! Kto skończył lat szesnaście i zobowiąże się piśmiennie nie niszczyć książek, oraz spełniać przepisy ustawy, korzysta darmo z takiej biblioteczki latającej. Mój towarzysz jest małomówny, ale szczodrze za to obdarza mnie katalogami takich wędrownych filii biblioteki publicznej. Szafka Nr. 1 zawiera sto tomów treści mieszanej: parę książek religijnych, parę folklorystycznych i z dziedziny nauk ścisłych, najwięcej beletrystyki, nieco podróży, sporo historycznych. Szafka nr. 2 podobnie ułożona. Ale oto specyalne biblioteczki wędrowne: Szafka nr. 630 zawiera 60 najlepszych dzieł z zakresu agronomii. nr. 673—43 historycznych. Jeżeli gdzieś znajdzie się kółko samouków, życzących sobie mieć pod rękę biblioteczkę specyalną, zwraca się ono do zarządu i dostaje szafkę na czas określony. W każdym katalogu przytoczono paragrafy z kodeksu karnego, ochraniające własność biblioteczną. Są one surowości drakońskiej! Dowiadujemy się, że kto świadomie zatrzymuje u siebie książkę, czasopismo lub jakiś przedmiot, należący do biblioteki, parę miesięcy po zarządaniu zwrotu, będzie zmuszony zapłacić do 25 dolarów kary lub odsiedzieć tę karę w więzieniu — do pół roku. Kto zaś zniszczy własność biblioteczną świadomie i umyślnie, temu grozi więzienie do lat trzech.

Między innemi dostałem prospekty związku bibliotek amerykańskich z nagłówkiem, streszczającym krótko a węzłowato cele organizacyi: „jaknajlepszego czytelnictwa dla możliwie najszerszych mas za cenę najniższą!“ Związek uważa biblioteki za pierwiastek zasadniczy w systemie wykształcenia publicznego, zachęca więc do zakładania nowych czytelni i wyszukuje mecenasów lub zbiera składki groszowe, wywiera nacisk na prawodawstwo, zbiorowemi siłami układa bibliografię ogólną, oraz działów specyalnych, drukuje wskazówki, co godnem jest czytania. Zresztą tam tyle pytań i zadań, o których nie miałem nawet pojęcia, że istnieją! Organizacya taka przynosi korzyści duże. Wciąż bowiem powstają nowe biblioteki, które od razu mogą korzystać z doświadczenia swoich poprzedniczek. Doszło nawet do tego, że przy związku istnieją specyalne kursa dla osób, które życzą sobie poświęcić się temu zawodowi.

* * *

City Hall w Chicago. Wznosimy się windą na trzecie piętro. Wagon tak pełny, że trzeba stać nieruchomie. Każdy z nas ma jakąś książkę pod pachą. Wysiadamy. Długi korytarz, oświetlony elektrycznością, na który wychodzi mnóstwo drzwi od rozmaitych działów biblioteki miejskiej. Na ścianach rozwieszono długie arkusze, zapisane przy pomocy *typewriter'u*; to spisy najnowszych książek, zakupionych przez zarząd i jeszcze nie wniesionych do katalogu drukowanego, który zjawia się dopiero wtedy, gdy liczba tomów w bibliotece powiększy się o kilkaset. Pomiędzy niemi znajdują się tablice, podające, w jakich dzielnicach ulokowały się filie biblioteki miejskiej. Ażeby oddać książkę i dostać nową nie potrzebuję udawać się do ratusza, lecz mogę to uskutecznić za pośrednictwem filii. Rzecz cała, że o dzień później otrzymam dzieło żądane. Korzystam bezpłatnie. Jeden z obywateli miasta podpisał się na blankecie, z którym zjawiłem się do zarządu i, bez żadnych innych formalności, zacząłem dostawać książki, po zwłoce jednotygodniowej, potrzebnej, ażeby przygotować mi bilet. Mimo że zwiedziłem wiele różnych bibliotek, nigdzie nie napotkałem takich ułatwień, z wyjątkiem czytelni, prowadzonych przez przedsiębiorców prywatnych. Wszystkie manipulacye są nad wyraz proste. Mogę otrzymywać nawet książki, znajdujące się w czytelni. Na żądanie będą one sprowadzone z innych bibliotek. Na ogromnym stole przymocowany jest drukowany inwentarz dzieł, znajdujących się w książnicy: na świstku papieru notuję książkę, autora i numer i w ciągu paru minut wszystko jest załatwione — odchodzę z jednym tomem, pomimo, że zwykle tłoczy się sporo osób. Mężczyźni oddają wypożyczone książki i otrzymują nowe przy innem okienku — inne znowuż służy dla kobiet. Niezmiernie to ułatwia procedurę wydawania.

Nasi przedsiębiorcy, utrzymujący czytelnie, wyszliby bardzo źle na tym interesie tutaj w Ameryce. Istnieje bowiem takie mnóstwo bezpłatnych instytucyi tego rodzaju, wolnych przytem od ociężałości biurokratycznej, tak prędko nabywają one książki nowe i tak toleracyjnie patrzą na wszelkie prądy myśli ludzkiej, że *business* prywatny stracił zupełnie grunt pod nogami. Byłem w paru miastach Związku; po dwóch dniach pobytu zawsze miałem już u siebie książki z biblioteki miejskiej i korzystałem z możliwych czasopism — bezpłatnie. Wątpię, czybym znalazł podobne udogodnienia gdziekolwiek w Europie. Na upartego, można nawet nie nabywać gazet codziennych. W każdym bowiem mieście są czytelnie bezpłatne, zwykle przy bibliotekach. W Nowym-Jorku znam takich kilka, podobnie w Chicago. Jedne z drzwi, wychodzących na korytarz, prowadzą właśnie do sali, gdzie znajduje się do czterystu wydawnictw peryodycznych w różnych językach; z polskich jest tu *Tygodnik ilustrowany* i *Kolce*, mogłoby zaś być więcej, gdyby odpowiedni czytelnicy w Chicago dbali więcej o to. Pokój to olbrzymi. Wzdłuż ścian stoją pulpity, do których nieruchomie przymocowane gazety codzienne. Wszystkie stronnictwa mają dostęp. Pisma miesięczne i tygodniki, których jest tu paręset, są otrzymane za kwitem w przeciągu minuty. W środku sali rzędy krzeseł, niekiedy tak zajęte, że trzeba wyrzec się czytania dla braku miejsca. Dla kobiet odgrodzono część sali — urządzenie tam jest wygodniejsze.

K. R. Żywicki.

KRONIKA WIEDEŃSKA

28-go października.

(Demonstracye robotnicze. — Nowa ustawa karna. — Koło polskie w obec projektów ministra sprawiedliwości

---

Pan Smith zadowolonym wzrokiem wodzi po tłumie swych gości. Toalety dam są świetne, brylanty, szafiry, rubiny snopy iskier rzucają dokoła. Perły młodych panienek ślicznie stroją te świeże młodziutkie postacie. Atmosfera wyrafinowanego zbytku panuje w tem zgromadzeniu.

Już wprowadzono zagranicznego artystę, koncert się zaczyna. Panie okoliły fortepian, panowie cofnęli się i ugrupowali pod ścianą. Tam w rogu salonu, odosobniony nieco siedział człowiek niestary, ale widocznie przeszłością swoją strudzony. Rysy miał piękne, subtelne, niby wyrzeźbione, wyraz zaciśniętych ust nieco bolesny, oczy przygasłe. Od całej tej postaci wiał smutek, a głębokie zmarszczki na czole, a włos posiwiały przedwcześnie, a bolesne skrzywienie ust świadczyły, że człowiekiem tym wstrząsać musiały kiedyś burze namiętności i wzruszeń gwałtownych, że on czuć, kochać, cierpieć umiał szalenie. Dzisiaj poważny, zimny wyglądał równie poprawnie jak reszta towarzystwa, do którego zdawał się być doskonale przystosowanym. Z uwagą słuchał muzyki, a w przerwach zamieniał kilka słów z najbliższym sąsiadem.

— Uważaj pan, w programie mamy nokturn Szopena.

Kiwnął głową obojętnie, ale po twarzy przeleciała mu niby łuna i zgasła, a usta zadrżały nerwowo. Szopena... Boże kiedyż i gdzie słyszał on go po raz ostatni?! Tam w małym dworku nad Bugiem grało go dziewczę takie jasne i białe... — Potem inne dźwięki mu zagrały, a potem już nic tylko ból, ból...

Cisza zrobiła się w salonie, artysta ręke położył na fortepianie i w powietrzu zadrżał nokturn-marzenie. Zdawało się, że przygasły lampiony, że przyćmiły się blaski brylantów i szafirów, a salon światło miesięczne zalało. Tak to noc księżycowa, świetlana, cicha, ale jakaż dziwna?... Słychać tajemnych przysiąg szept, słychać pożegnań cichych rozpaczliwe westchnienia, białe postacie mdlejące przesuwają się po szpalerach ogrodów. Zdala dźwięki dolatują tajemnicze, złowrogie, może to hukanie puszczyków, może płacz jakiś odległy. A tony nokturnu cichną, w inny, smętniejszy przelewają się motyw.

Po łąkach mgły wstają, wstały białe jak duchy i płyną niby smętnych przejrzystych postaci chór. Miesiąc je srebrzy, a wiatr srebrne rozwiewa. Każda plamę purpurową ma na piersiach i w świetle miesiąca płyną, płyną w cień. Wiatr je niesie dalej i dalej, wiatr je rozwiewa. Już przepłynęły i na łąk się ułożyły polu. Tam im cisza i sen i cień...

Księżyc już nie świeci, chmur go czarnych zakryły tumany. Nic już niema, tylko ciemność i ból i ból...

Łkanie głośne zmąciło melodyą. Artysta wzdrygnął się cały, ręce podniósł od fortepianu i jak ze snu zbudzony spojrzał dokoła.

W rogu salonu otoczono niemłodego człowieka spiesząc mu z pomocą. Jasnowłosa panienka podawała mu szklankę wody, gentleman jakiś radził kieliszek koniaku. On nie odpowiadał, głowę miał w rękach ukrytą i szlochał z taką żałością namiętną, jakby zapomniał — lecz na pewno zapomnieć musiał — że znajduje się w salonie p. Smith. Nagle wstał i rozpychając tłum przed sobą, uciekł z pokoju. Na chwilę zapomniano o koncercie, ogólną uwagę zwróciło dziwaczne zachowanie tego człowieka.

— Kto jest ten gentleman? — sam książe raczył zapytać głównego przedstawiciela firmy.

— To jeden z moich buchalterów, dziwak, cudzoziemiec — pospieszył z objaśnieniem gospodarz domu.

— Nerwowy? — badał książe dalej.

— No tak. Wrażliwy, chorobliwie wrażliwy.

— A skądże napad wzruszeszenia wobec tej... tej melodyi? Inne znosił spokojnie.

Pan Smith ruszył ramionami. — Odpowiedzieć trudno! — nagle myśl niezwykła błysnęła mu w głowie. — Może jakieś wspomnienie młodości — rzekł patrząc na księcia.

Wielki pan uśmiechnął się z lekka. — Tak, to możebne. — I powrócił do fortepianu.

Artysta zdołał już ochłonąć tymczasem. Wziął pełen akord i pasażami świetnego jakiegoś ronda zagłuszył wspomnienia nokturnu. Dalszy ciąg koncertu odbywał się wedle programu.

III.

Jest na Père la Chaise samotna mogiła. Leży w niej śpiewak co piosnkę polską poniósł w świat daleki. Grał ją ludziom długo, długo i od piosnki się smutkiem ojczystym zaraził. Nie było i jemu radości, ani wesela na ziemi. Nie dziwcie się łzie wspomnienia, bo on umarł młodo i smutny był zawsze.

Helena Ceysinger.

i skarbu. — Morskie Oko. — Jubileusze Straussa i Lüegera. — Z teatrów.)

Demonstracye robotnicze, zakończone we Wiedniu formalną bitwą uliczną, w której szczególniej bohatersko spisywała się policya tutejsza, najeżdżając i raniąc szablami niewinnych przechodniów, dała powód do szerokich wynurzeń zarówno premierowi austryackiemu, jak i markizowi Bacquehemowi, dzierżącemu w Austryi tekę ministra spraw wewnętrznych.

W odpowiedzi na przemówienie posła Pernerstorfera, który jako przedstawiciel warstw robotniczych, domagał się ukarania policyi za jej prowokujące zachowanie wobec demonstrujących robotników i ostro krytykował panujący w Austryi system policyi, odpowiedział pierwszy, iż rząd nie potrzebuje „nauk z ulicy“ i nie pozwoli sobie od „motłochu“ przepisywać, co ma czynić i jak postępować wypada. Markiz Bacquehem zaś przedstawił całe zajście jako porażkę policyi, która w końcu okazała się niewinną i bez skazy. W obec tego oczywiście i wniosek Pernerstorfara, który żądał, aby komisya zajmująca się przygotowaniem projektu do reformy wyborczej przedłożyła w ciągu czterech tygodni sprawozdanie z dotychczasowej czynności — nie znalazł uznania na ławie ministeryalnej; a większość koalicyjnego parlamentu poszła — jak zwykle — ślepo za zdaniem rządu.

W ten sposób zabagniono znowu na jakiś czas sprawę tak pilną i piekącą, jak rozszerzenie prawa wyborczego, które w dzisiajszej swojej formie urąga wszelkim pojęciom słuszności i sprawiedliwości, a lepiej poinformowani twierdzą, że w razie przejścia wniosku Pernerstorfera komisya przygotowawcza byłaby się znalazła we wielkim kłopocie; dotąd podobno nic a nic w tej sprawie nie zrobiła i o przygotowaniu jakiegoś projektu reformy wyborczej ani myśli. Tradycya Taaffego nie zniknęła tedy jeszcze tak zupełnie, jak na to utyskują organa klerykalne.

Główną przyczyną tego nieustannego zwlekania i utrudniania reformy ze strony rządu, a chętnego w tym względzie współdziałania z nim parlamentu, jest niezawodnie okoliczność, iż w zaspokojeniu żądań ludu wchodzą w grę czynniki czysto osobistej natury, poprostu interes obranych członków rządu i parlamentu. Ze zmianą ordynacyi wyborczej niewątpliwie skład parlamentu austryackiego uległby radykalnej zmianie; większość obecnych posłów pożegnałaby się mandatami, a rząd straciłby ogromną ilość swoich „wiernych“ w radzie państwa. Instynkt samozachowawczy wzbrania tedy parlamentowi zajęcia się sprawą tak niebezpieczną i... niewyraźną, jak reforma wyborcza.

Lubo skutkiem tej rozważnej manipulacyi odpadła na razie najbardziej interesująca część obrad parlamentu, pozostały jeszcze sprawy, obchodzące żywo ludność krajów koronnych. W pierwszym rzędzie sprawa wprowadzenia nowego kodeksu karnego. Obowiązująca obecnie w Austryi ustawa karna z r. 1852 jest dziwolągiem ustawodawczym, na jaki zdobyć się mogła tylko — Austrya. Przepisy w niej zawarte odznaczają się taką giętkością i elastycznością, zwłaszcza o ile dotyczą t. zw. przestępstw politycznych, że energiczny prokurator, (a któryż prokurator nim nie jest?) stosować je może do najzwyklejszych, stan wiących podstawę swobód konstytucyjnych czynności. Szereg procesów, w których prym oczywiście wiodą galicyjskie prokuratorye, dostarczył jaskrawych ilustracyi w tym kierunku. Istnieje też w owej ustawie kilka przepisów, tak bezsensowych, że wcale nie dadzą się zastósować do wypadków praktycznych, albo dadzą się zastósować do wszystkiego.

Dążność do usunięcia tego kodeksu i zastąpienia go nowym, bardziej odpowiadającym wymaganiom nowoczesnej nauki prawa i potrzebie zmienionych warunków życia politycznego, pojawia się w parlamencie austryackim od lat kilkudziesięciu. Zbyt częste zmiany gabinetów, chmurny widnokrąg polityczny i walki stronnictw stanowiły dotąd przeszkodę do urzeczywistnienia tej dążności. Na razie obecny rząd zdobył się na przedłożenie projektu nowej ustawy, ułożonego pod wpływem ministra sprawiedliwości, hr. Schoenborna. Aliści jak na złość projekt nowej ustawy okazał się pono jeszcze gorszym od starego kodeksu. Oparty niby na nowoczesnych poglądach nauki — przejął twórca nowego projektu ze starej szkoły kryminalistycznej cały aparat scholastyczny i zastósował go w zupełności do swojego dzieła. Powstała ztąd kombinacya ma się przedstawiać tak pociesznie, że mimo pogróżki hr. Schoenborna, iż w razie odrzucenia jego projektu, sprawa nowej ustawy karnej odłożoną zostanie ad calendas graecas, już dzisiaj przewidzieć można bankructwo nowego kodeksu i jego odrzucenie przez parlament. Giętkie pojęcia dotychczasowych przestępstw politycznych nabrały w projekcie jeszcze więcej elastyczności, a obostrzenia ustawy prasowej, najsurowszej w Austryi po rosyjskiej cenzurze, doszły do takiego stopnia, że istnienie pism niezależnych byłoby wprost niemożliwem. Zresztą nie zadowolnił projekt prawie żadnego stronnictwa i nawet Koło polskie, ten wysławiony baranek parlamentarny, oświadczyło przez usta posła Abrahamowicza — który uważał za stósowne zakpić sobie przy tej sposobności z „bohaterskich obrońców wolności“ (dziwna zaiste ironia w ustach polskiego reprezentanta „ludu“!) -- iż na wniesiony przez rząd projekt nowej ustawy zgodzić się nie może.

Z innych spraw parlamentarnych szczególny interes dla ziemian galicyjskich przedstawia projekt ministerstwa skarbu zmonopolizowania produkcyi wódek. Projekt ten musiałby w pierwszym rzędzie dotknąć Galicyę, tę „ojczyznę wódki i pędraków“ — jak ją ongi nazwał ks. prałat Chotkowski, gdzie „karczma — wedle pamiętnego wyrażenia śp. posła hr. Lasockiego — to świętość“ — a gorzelnia fundamentem dobrobytu braci szlachty. — Toczą się też w kole polskiem gorączkowe obrady nad kwestyą, jak się zachować w obec projektu „życzliwego“ rządu, a właściwie ministra skarbu p. Plenera: nawet minister oświaty dr. Madeyski zainteresował się żywo kwestyą alkoholiczną (chyba nie w celach pedagogicznych!) i złożył w Kole uroczystą deklaracyą, iż rząd projektowanem zmonopolizowaniem gorzałki wcale nie dybie na dochody obywatelstwa galicyjskiego.

Mniej zajęcia okazuje Koło dla sprawy Morskiego Oka, która mimo „urgensów“ nadchodzących z kraju, jakoś niechce się posunąć naprzód. Minister dla Galicyi, p. Jaworski oświadczył deputacyi galicyjskiej, iż w lutym przyszłego roku zjadą się referenci cis- i translitawski i przedłożą swoje referaty w tej sprawie, a wówczas dopiero będzie można o jej załatwieniu pomyśleć.

Poza polityką wre w Wiedniu także huczne życie. Jubileusz 50-letniej twórczości operetkowej święcił niedawno „król walców“ i ulubieniec Wiedeńczyków, Jan Strauss, a przy tej sposobności można się dowiedzieć, iz jubilat operetkami swojemi nie mniejsze dla Wiednia położył zasługi i nie mniej sławę jego po świecie rozniósł jak np. Goethe sławę Wejmaru. W obchodzie jubileuszowym wzięły udział wyłącznie sfery pieniężnej arystokracyi, a po trosze „wyższe sfery“ towarzystwa wiedeńskiego. Teatra na wznowionych operetkach Straussa robią jeszcze teraz świetne interesa... — Mniej okazale, ale równie hałaśliwie święcił swój jubileusz Dr. Lueger, znany przywódzca antysemitów wiedeńskich. Uroczystość rozpoczęła się wotywnym specyalnem kazaniem, wygłoszonem przez przyjaciela jubilata, a zakończyła się bankietem, na którym rej wodził drugi przyjaciel Luegera redaktor Vergani, znany z różnych sprawek „macher“ wiedeński. Do uświetnienia obchodu przyczyniło się wielce liberalne dziennikarstwo tutejsze, poświęcając mu olbrzymie opisy i rozpamiętywania. — Z dziedziny teatralnej zanotować wypada, iż p. Modrzejewska, nie uzyskawszy pozwolenia na występy w Burgteatrze, zaniechała na razie zamiaru wystąpienia we Wiedniu i wyjechała do Lwowa. W „Theater an der Wien“ — najnowsza operetka Straussa „Jabuka“ — podobno i najsłabsza — ściąga tłumy publiczności.

Essi.

LISTY Z PETERSBURGA.

II.

Petersburg 28 listopada.

Pogłosek treści politycznej krąży w Petersburgu tyle, że trudno to wszystko zgromadzić w jedno miejsce, tembardziej, że prawdziwie pewnego nie można powiedzieć nic lub prawie nic. Bardzo rozpowszechnioną jest pogłoska, że jeszcze przed wyjazdem cesarza do Krymu, gdy choroba już została skonstatowana, postanowiono na radzie familijnej w Gatczynie dać konstytucyą bez względu na to, jaki będzie wynik choroby. Nie bardzo można temu wierzyć, szczególnie na przypadek polepszenia się stanu dostojnego chorego. ale coś musi być w tem, kiedy tak uparcie to powtarzają. Pytałem się znajomych rosyan, coby też robili, gdyby tak niespodziewanie otrzymali konstytucyą. Nasamprzód powaryowalibyśmy z radości brzmiała odpowiedź. Otóż, zanim przyjdzie czas, kiedy nasi bracia z nad Newy będą mieli prawo waryować z radości, pocieszają się tymczasem nadzieją, że w razie zmiany tronu co najmniej upadnie kilku dzisiejszych potentatów, którzy najwięcej dali się we znaki narodowi. Gdyby wszystko skończyło się tylko na upadku pana Pobiedenoscowa, to i tak byłby to już niemały tryumf światła i postępu nad ciemnością i reakcją. Z obecnych ministrów jakoby tylko jeden p. Murawiew. minister sprawiedliwości, cieszy się jaką taką sympatyą młodego następcy tronu. Jest to człowiek zdolny i dość jeszcze młody, ale tendencyi nie zbyt liberalnych. Optymiści przypominają także niektóre epizody z podróży następcy tronu po Syberyi, mianowicie, że przy prezentowaniu mu syberyjskich dygnitarzy młody książę demonstracyjnie nie podał ręki kilku sławnym ze zbytniej gorliwości w kierunku reakcyjnym działaczy.

Ze spraw, obchodzących bliżej nasze społeczeństwo, należy zaznaczyć wrażenie, jakie sprawiła heca antypolska u was na Zachodzie Rosyjscy polakożercy niezmiernie się ucieszyli z tego, jak mówią, „nawrócenia“ rządu pruskiego do prawdziwej, jedynie możliwej polityki względem Polaków. Już oddawna nie podobało się im to pewne złagodzenie ucisku, które zdawała się zwiastować polityka „nowego kursu.“ Zaczęto na serjo obawiać się polepszenia stosunków między Polakami i Niemcami — lękano się ewentualności germanofilstwa w Polsce zostającej pod Zaborem rosyjskim. Officjalna Rosja tak oddawna przywykła naśladować Prusy w swojej polskiej polityce, że zwietrzywszy jakąś zmianę po drugiej stronie granicy, stropiła się nie na żarty. „Co ten sen ma oznaczać,“ — pytano słowami znanego przysłowia rosyjskiego.

Jeżeli tak pójdzie dalej, to cała wynaradawiająca polityka w Kongresówce będzie nieco głupio wyglądać. Jeżeli dotąd brat Słowianin dusił drugiego i to lepszego od siebie Słowianina, to była przynajmniej na to racja, mianowicie, że to samo czynił mądrzejszy i bardziej ucywilizowany Krzyżak; ale teraz kiedy Niemcy gotowi broń Boże przemienić się z wilków w łagodnych baranków, to może wypadnie i tak zwanym przyrodzonym opiekunom słowiańszczyzny przypomnieć sobie, że każdy człowiek ma co najmniej prawo uczyć swoje dzieci w swoim własnym języku. Wielkie więc było zamięszanie w obozie „Moskowskich Wiedomostiej“ i „Nowego Wremieni.“ Otwarcie wstydzono się jakoś ubolewać nad możliwością polepszenia się stosunków politycznych w Poznańskiem, jak tu ogólnie nazywają cały Zabór pruski, ale w skrytości serca ubolewano nad tą fantazją „młodego kursu.“

Aż oto się uspokojono nareszcie, gdy zobaczono, że cały ten zwrot ku lepszemu dał się sprowadzić do znanej wszystkim żakom sentencyi: „parturiunt montes et nascitur ridiculus mus“. Po odezwaniu się pana ministra Bossego w sejmie pruskim, już zrozumiano natychmiast, że z germanofilstwa Polaków będzie woda i że Niemcy zakpili sobie z lojalności waszego Koła polskiego. Teraz zaś, gdy stary

lew warciński ryknął w swojej jaskini i gdy mu zawtórowały sfery miarodajne, to w tutejszym obozie antypolskim zapanowała prawdziwa radość. Wszystko jest dobre co się dobrze kończy, powiadają sobie panowie, którym tak smakuje urabianie własnych interesów pod pozorem dbałości o dobro państwa, a że polityka nowego kursu taką pomyślną skończyła się kropką, więc nie warto nawet teraz wspomnieć o tem co było; „kto stare wspomni, temu oko wyłupić“, mówi rosyjskie przysłowie. Pomimo jednak całego zadowolenia i całego respektu przed nieomylnością żelaznego ekskanclerza nawet najzawziętszy Rosyanin nie może się powstrzymać od ironicznego uśmiechu, gdy jest mowa o Bismarkowskich zapatrywaniach się na kwestyę polską. Tu już od dawna przestano się obawiać polskiej szlachty i duchowieństwa, czyli raczej dzielić Polaków na klasy czy kasty pod względem ich usposobienia politycznego. Tu rozumieją bardzo dobrze, że kwestya polska jest kwestyą rachunków między jednym narodem i drugim, czyli, jak obecnie, między polskim narodem i carskim rządem, gdyż naród rosyjski jako taki nie ma jeszcze głosu i Bóg wie, jakby ten głos brzmiał, gdyby wolno było narodowi zabrać go w tej sprawie. Tu rozumieją, że dziś każdy uczciwy Polak jest patryotą, tego lub owego odcienia, lecz w każdym razie piastującym w swojej duszy pewne jakieś minimum potrzeb i żądań, od których za nic w świecie nie odstąpi nigdy. Jedne chyba tylko ciężko głupie Moskowskie Wiedomosti pozwalają sobie od czasu do czasu na jakieś brednie o zasadniczych różnicach w nastroju politycznym polskiej szlachty i polskiego ludu, o ile ten lud naturalnie jest świadomym swoich praw ludzkich, bo o absolutnie ciemnej jego części nie ma co mówić.

Nie wszyscy jednak się cieszą waszą tragedyą. Sprawiedliwość każe zaznaczyć ten fakt, że są i tacy, których pruska polityka w polskich ziemiach oburza i smuci.

Kiedy naród poetów i filozofów, powiadają, naród, do którego młodzież rosyjska od wieku przywykła udawać się po światło nauki, nareszcie naród, co cieszy się dobrodziejstwami tej tak upragnionej przez tutejsze społeczeństwo konstytucyi, może z taką bezczelnością deptać nogami najświętsze prawa ludzkie, to gdzie jest prawda, gdzie dobro, gdzie to summum bonum, do którego uczą nas wzdychać na ławie szkolnej. Skrępowani łańcuchami na wpół azyatyckiego despotyzmu przywykliśmy zwracać krwawe oczy ku Zachodowi, oczekując stamtąd światła i zbawienia; przywykliśmy przyjmować z dobrą wiarą wszystko co szło z zachodu, bo to kraj choć względnej swobody, a więc szczęśliwszy i lepszy od naszego. Tymczasem zaś cóż innego widzimy tam; ten sam ucisk tylko w nieco innej sukience. Niemasz tam wprawdzie cytadeli i dziesiątego pawilonu, nie ma Sybiru ani kozaków z nahajkami, ale po za tem jest wszystko tak samo jak i u nas, zupełnie tak, jakgdyby nad tym ludem, który rządzi wami, unosiły się duchy nie Schillerów i Kantów lecz Mikołajów i Murawiewów. Cytadela i żandarmi istnieją dla jednostek, wprawdzie dość licznych i czasami nawet bardzo licznych; ogół narodu nie odczuwa jednak na sobie istnienia tych politycznych smakołyków. Ogół cierpi z powodu prześladowania języka i krępowania swobody narodowej. A pod tym względem nie wiele lepiej jest u was, albo może i całkiem nie lepiej. Otóż ta pozorna samowolność, ten rozdźwięk między wysoką cywilizacyą i rzekomym marzycielstwem niemieckiego narodu, a jego polityką względem Polaków dziwi też i zasmuca tę zacną i czystą część rosyjskiego społeczeństwa, która sama cierpiąc ucisk, przywykła przypisywać wszystko złe na świecie despotycznemu rządowi i wszystkiego się spodziewać od swobody. Zapominają oni o jednem, że swoboda rzecz piękna i dobra, ale może objawiać się w rozmaity sposób. Znając Niemców, jako naród poetów i filozofów, zapominają, że ten naród dziś jest w bardzo znacznym stopniu narodem Bismarka, że czterdziestoletnia szkoła pod takim mistrzem musiała swoje zrobić i że trzeba czasu długiego żeby się zatarły ślady tej dressury. To też my, doświadczeńsi i bardziej oznajmieni z zachodem powtarzamy tutaj naszym nielicznym przyjaciołom, że dłużej klasztora jak przeora, dłużej kultury i cywilizacyi, jak Bismarków i jego szkoły.

Zresztą znalazła się dobra strona w tej hecy, którą urządzili przeciwko wam wasi przyjaciele. Otrzeźwiła ona pewną część naszego politykującego świata, szczególnie młodzieży i dowiodła raz jeszcze, że nie powinniśmy liczyć na nic i na nikogo, a tylko na siebie samych i na własną wytrwałość; przekonała ona nas, że polityka nasza nie powinna być ani niemiecką, ani rosyjską, ani austryacką, lecz tylko i jedynie polską i że wtedy dopiero, gdy się zdobędziemy na ogólno-polską politykę w poważnym stylu, tylko wtedy nauczą się nas szanować i Niemcy i Moskale.

X.

NA WYŁOMIE.

(Strach dziennikarza. Przebranie. Charakterystyka „dworusów.“ Co mówią ludzie ładu i porządku? Kto winien? Strzeżcie się!)

Na trzy godziny przed wyborczą burzą, szalejącą w sobotni wieczór na sali Lamberta, otrzymałem od jednego z winiarzy poznańskich list zachwalający różne gąsiorki i przekąski, a w końcu uprzejmą radę, aby przybyć do handelku na „p o k r z e p i e n i e p o w y b o r o w e“ (sic). Źle! — pomyślałem. Skoro już o „pokrzepieniu“ mowa, to oczywiście zanosi się na męczącą a może i bolesną awanturę. Przypomniałem sobie pamiętne zebrania ubiegłego roku, dwóch mecenasów, uciekających oknem z zręcznością akrobatów cyrku Janslego, sterczące czarne kolumny kijów i parasoli, wrzask przeraźliwy ludzkiej menażeryi i posępny rozkaz: Dobrowolski naprzód! Iść albo nie iść? zapytałem tedy z Hamletowską melancholją, lubo trupiej czaszki nie trzymałem w ręku. A gdym tak dumał pełen zwątpienia i trwogi stanął przedemną dawny kolega, który zachwycał mnie zawsze śnieżną białością mankietów, krawatem *haute nouveauté* i prawdziwie paryzkim krojem tużurka. On czy też nie on? Zdumiałem. Przypomniałem sobie, że niegdyś, gdy jako pełen fantazyi prymaner wykradałem się w nocy na bilardowe batalje, mniej więcej w podobnym stroju sunąłem przez ulice miasta: Stary z szerokiem rondem kapelusz i jakiś przedpotopowy paletot podróżny. Djabeł nie pozna, a cóż dopiero belfer w okularach.

— Chłopcze najmilszy! Zkąd ta maskarada?

Uśmiechnął się i mrugnął okiem filuternie.

— Żal mi cylindra i nowego haweloku, bo to widzisz... ten... tego... na zebraniu może być g o r ą c o.

Tu zaczął ręką machać energicznie jak jeden z świętej pamięci profesorów moich, wołający często głosem ponurym: „Owcza głowo! chodź sa na Araba!“ Niech djabli wezmą takiego Araba. Był to sobie stołek bolesny, łoże Medejowe, — koń drewniany, co tak ciężko nosił. Machanie kolegi przypomniało mi kilka arcynieprzyjemnych chwil życia mojego i stałem się tak smutny jak carewicz rosyjski, gdy mu się żenić kazano z Alicyą. Ale cóż robić? Obowiązek obywatelski i dziennikarski powiedział: musisz! — no! i poszedłem.

Wchodzę na wielki podwórzec Lambertowskiego etablissement i spostrzegam grupy ludzi dysputujących żywo i zajadle. Kwadrans jeszcze dzielił nas od krytycznej godziny, więc przystanąłem i słucham uważnie. Opodal bramy jakiś mały człowieczek wykładał właśnie społeczne poglądy swoje kilku młodym rzemieślnikom — była to charakterystyka „dworusów“ tak przerażająca, że włosy dębem nagle mi stanęły, a serce o mały włos w inekspryma ble nie spadło.

— Nie wierzcie nikomu — mówił socyolog poznański — ja ich znam, a co powiem to tak jakby w piśmie świętem stojało. Raz Polskę sprzedali, a teraz ją znowu handlują. Ani religii świętej nie znają, ani Pana Boga w sercu nie mają. Mówię wam: Prawda! Z Lutrami się już umówili, aby cały naród przeszedł na masońską wiarę. Każdy z nich za to dostanie od kolonizacyi tyle pieniędzy, ileżeśta przez całe życie nie widzieli, a ci, co żon nie mają, to z żydówkami bogatemi się pożenią i do Ameryki wywędrują.

Krzyczał coś jeszcze, ale fala nadpływających ludzi uniosła mnie z sobą i ostatnie słowa trybuna zginęły we wrzawie i zgiełku. Wbiegam na schody, wiodące ku jasno oświetlonej sali, gdzie tłum wyborców z minuty na minutę rósł i potężniał. Opodal drzwi jakiś robotnik pijany bełkotał półnieprzytomnie: „Postęp powiedział, psiakrew! Rote Reaktionäre, psiakrew!“ — Czkawka dusić go poczęła i oparłszy się o ścianę spoglądał na mnie wzrokiem obłąkanym.

Nadprogramowe te wynurzenia nie przyczyniły się bynajmniej do ukojenia podrażnionych nerwów. Z pewną nieśmiałością rozpieram czarny mur ciał ludzkich i oparłszy się o ścianę łowię uchem głosy zmieszane, zlewające się w jakiś chór potężny zawiści i namiętności. Zrazu nic rozróżnić nie mogę. Po chwili dopiero z ogólnego zgiełku wybiegają jakieś oderwane, silniejsze okrzyki: „Szewcy górą!“ ktoś krzyknął ironicznie, i sto ust zawtórowało mu śmiechem przenikliwym. „Dworusy“! — odpowiedziała na to lewica i kilka parasoli rozbujało się groźnie nad głowami tłumu. Wogóle jednak uwaga cała skupiała się na listy wyborcze rozrzucone po sali. Wskazywano palcami nazwiska, wydzierano sobie kartki przeciwników i opowiadano ponure historye o kontrkandydatach. Opodal stanowiska mojego jakiś gruby jegomość ze stronnictwa „ładu i porządku“ śmiał się na całe gardło, drwiąc z „ludowej“ listy.

„Patrzcie tylko — mówił głosem tubalnym — co im się zachciewa. Taki gryzipiórek chce tu nami rządzić. Na obiad to ci zje sobie „piklinga“ za 5 fenygów, — widziałem na własne oczy, jak Boga kocham! — a potem o pustym żołądku krzyczy i mądruje.

Miałem straszną ochotę zapytać się tego męża „ładu i porządku“ czy możność zjadania befsztyków angielskich i pomnażania peryferyi ciała pokładami tłuszczu stanowi istotnie kwalifikacyą na członka komitetu. W takim razie bowiem wypadałoby postawić wniosek o ustawienie wagi decymalnej opodal krzesła prezydyalnego i wyszczególnienia liczby centnarów przy nazwiskach kandydatów. W innem znów miejscu opowiadano sobie różne powieści z życia i fantazyi o poznańskich „mecenasach i doktorach“. Dowiedziałem się n. p., że jakiś biedny stolarz prosił jednego z lekarzy miejscowych o podpis na wekslu.

— A jakie pismo czytujesz? — zapytał groźnie Eskulap.

— „Postęp“ — proszę łaski Pana.

— To niech ci Knapowski weksel pożyruje.

I wypchnął za drzwi stolarza konsyliarz poznański.

To znowu jakiś poważny obywatel pouczał grono słuchaczy, że gdzieś w zapadłej prowincyi proboszcz pewien podeptał w trafice „Orędownika“ i zapowiedział kupcowi, że go zrujnuje materyalnie, jeżeli raz jeszcze pismo wyklęte w handlu jego zobaczy. Jednem słowem, gdzie tylko kroki zwróciłem, wszędzie witała mnie melodya nienawiści lub zaślepienia. I byłbym niezawodnie więcej jeszcze nazbierał tych smutnych „dokumentów ludzkich“, gdyby nie dzwonek prezesa, zwiastujący początek sobotniego skandalu. Na razie cisza. Przewodniczący mówi spokojnie, słowa jego cechuje bezstronność i tolerancya. Zdaje się przez chwilę, że głos ten uciszy rozkiełznane namiętności, ale już po kilku minutach cała sala w wulkan się zamienia, — grzmi, huczy i lawą tryska w około;

— Czemu pan krzyczysz? — pytam jakiegoś robotnika w bluzie.

— Wola ludu! — huknął mi nad uchem i dalej wył jak opętany.

Wreszcie „wola ludu“ zwyciężyła, — Kna-

powski zdobył „kanapę“. Teraz wszczyna się wrzask przeraźliwy w szeregach „ładu i porządku“. Szał bojowy porywa wszystkich, wyją czytelnicy Wielkopolanina — wyje nawet Dziennik i Kuryer Pozn. „Nie chcemy zecerów; nie chcemy szewców w komitecie!“ Krzyk, hałas, piekło, komisarz wstaje, — rozbite zebranie.

Opuszczam salę smutny i przerażony niemal, a w około uderzają mnie głosy klątw i wyzwisk brutalnych. Jakiś rzemieślnik blady z oburzenia, z szeroko rozwartemi oczyma wygraża mi pięścią pod nosem i krzyczy na całe gardło; „Zgnijecie dworusy! My bosaki górą!“ Ten człowiek upił się nienawiścią, rozpalono jego serce nieostrożnemi hasłami i dzisiaj stoi przedemną z blaskiem fanatyzmu w oczach; nie zna mnie, a potępia dla tego jedynie, żem nie rzemieślnik, nie robotnik jak on. Nonsensem jest szukać w szerokich masach ludowego stronnictwa wyraźnych programów politycznych, nonsensem wysuwać na pierwszy plan Orędownikową opozycyą w sprawie polityki Koła polskiego. tu wrzeć poczyna walka klas, tu różnice społeczne są fundamentem nienawiści. I rzecz dziwna istotnie! Gdym przed kilku tygodniami przysłuchiwał się obradom stronnictwa ludowego na zebraniu zwołanem przez „Orędownik“ i „Postęp“, podziwiałem spokój, trzeźwość i dojrzałość parlamentarną tych warstw robotniczych. Ci ludzie objawiali takie poczucie obowiązków obywatelskich, taki rozsądek w ocenie stosunków, taką powagę w dyskusyi, że opuszczałem salę z jakąś błogą nadzieją, — *ojczyzna moja urosła.* W chwili jednak, gdy te same tłumy znalazły się oko w oko z reprezentantami innych stanów, — w chwili, gdy wspólnie z przeciwnikiem polskim nad walką z niemieckim żywiołem obradować miały, rozpłynęła się trzeźwość i równowaga, a pozostało tylko uczucie zemsty, pogardy i klasowej nienawiści. Kto winien? pytacie. Winien niezawodnie „Orędownik“ i „Postęp“, którzy hasła eksplodujące między lud rzucali i tak długo pod kotłem palili, aż ściany jego pękły i płomień szeroko rozlał się po kraju, ale winni i ci wszyscy, którzy z zaciętą stronniczością bronili przywilejów i pozycyi swoich, którzy duchowieństwo wzywali do walki z opozycyą demokratyczną, którzy bojkotem podcinali życiowe arterye polskich przemysłowców i rzemieślników, którzy ludowe siły budzące się do samodzielnego życia i żądające miejsca przy stole politycznym witali tylko pogardą. Toż „Kuryer Pozn.“ rzucił między lud roznamiętniony bolesny wyraz „Bosaki“ To urąganie ubóstwu jest ze stanowiska humanitarnego nieszlachetnem, a ze stanowiska politycznego — oliwą do ognia. Strzeżcie się panowie! bo dopóki „Orędownik“ walczy z Kołem polskiem, a ludowcy z ugodowcami, społeczeństwo spać może spokojnie, ale gdy nogi bose staną z butami do walki, a głodni sytym pozazdroszczą strawy, wtedy ta burza stanie się zniszczeniem.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Nowe podręczniki.

W Warszawie wydano w ostatnim czasie kilka bardzo pożytecznych podręczników, przeznaczonych do nauki prządtkowej. Zwracamy na nie uwagę rodziców i nauczycieli, gdyż zarówno u nas, jak pod zaborem rosyjskim cudzoziemskie wychowanie publiczne wywołało rażące ubóstwo na polu szkolnego piśmiennictwa. Nauka prywatna nie mało na tem ucierpiała i niejednokrotnie w braku rzeczy własnych a dobrych, trzeba było się uciekać do książek w obcych pisanych językach lub do podręczników polskich wprawdzie, lecz przestarzałych, posługujących się metodami, które jako niewłaściwe dawno już wyszły z użycia. — Dla tego też wszystkie polskie wydawnictwa szkolne witamy radośnie i polecamy uwadze osób interesowanych, przekonani, iż one odpowiadają bardzo powszechnie odczuwanym potrzebom. Byłoby rzeczą pożądaną, aby nauczyciele posługujący się niemi zdawali sprawę ze swoich spostrzeżeń i wykazywali ich błędy, gdyż istotną wartość tego rodzaju książek dopiero w użyciu ocenić można. Autorowie korzystając ze wskazówek i doświadczeń kolegów mogliby dziełka swe poprawiać i uzupełniać, na czem sprawa nauczania zyskałaby niewątpliwie. Oto tytuły książeczek, o których mowa:

M. Weryho. Co się z czego robi i zkąd pochodzi? Jestto książeczka zawierająca pożyteczne dla nauczycieli wiadomości do wykładu t. zw. „Nauki o rzeczach“. Objaśnia ona pochodzenie i fabrykacyą przedmiotów, z któremi się dziecko pospolicie w swem otoczeniu spotyka jak n. p. papieru, ołówków mydła, cukru, świec, zapałek, igieł, szpilek i t. p. Naturalnie do przedmiotów opisanych możnaby jeszcze dodać sporo innych, w każdym razie książeczka ta zaspakaja najgłówniejsze w tym kierunku potrzeby. Pamiętać tylko należy posługując się nią, że przeznaczona jest nie dla uczniów, lecz dla wychowawców, którzy jej dzieciom do ręki dawać nie powinni, natomiast wiadomości w niej zawarte, odpowiednio do stopnia rozwoju uczniów uzupełniać własnemi objaśnieniami. Tak n. p. — mówiąc, że „przy wysokiej temperaturze otrzymujemy fosfor w postaci ciała lotnego“ przedewszystkiem należy wiedzieć, czy wyrazy „temperatura“ lub „ciało lotne“ są dla dzieci zrozumiałe, w przeciwnym zaś razie zastąpić te wyrazy innemi, lub jeśli można, objaśnić. — Do tekstu dołączono bardzo dobre illustracye.

Ćwiczenia do wykładu gramatyki i nauki języka polskiego p. M. Dzierżanowską, C. Niewiadomską i J. Warnkównę. — Autorki podzieliły swą pracę, stanowiącą kurs elementarny, na „książkę ucznia“ i „książkę nauczyciela.“ Pierwsza jest zbiorem ćwiczeń, które uczeń sam przerabiać może piśmiennie lub ustnie, na lekcyi i po za lekcyą, druga zawiera przykłady, zastósowania gramatycznych reguł, gotowe wzory odmian i rozbiorów, objaśnione krótkiemi uwagami. Wielka rozmaitość zadań, wyczerpujące przeprowadzenie głównych zasad gramatycznych w dobrze dobranych przykładach, umiejętne stopniowanie trudności zalecają tę książeczkę, jako taką, która dzieciom nudną zwykle i uciążliwą naukę języka ulatwić, uprzyjemnić i zajmującą uczynić może. Autorki stosowały się ściśle do uchwał Akademii umiejętności i gramatyki Małeckiego. Sądząc z obecnej książki liczyć można, że i dalsze zapowiedziane prace pedagogicznej spółki cennym się staną dla bibliotek szkolnych nabytkiem.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Śmierć cara Aleksandra III wywarła głębokie wrażenie w całej Europie. W Poznaniu dwa dzienniki niemieckie i jeden polski (Dziennik Pozn.) ogłosiły ją w dodatkach nadzwyczajnych. Wszystkie czasopisma polskie charakteryzują ujemnie działalność polityczną cara.

Teatr i muzyka. W czwartek wznowiono na scenie poznańskiej rzewną jednoaktówkę Przybylskiego p. t. „Mój mały“ (Grajek. W utworze tym zabłysnęła lirycznym talentem p. Helena Zimajer. W grze młodej artystki było z wyjątkiem kilku momentów fałszywego patosu tyle szczerego przejęcia i ciepła, że publiczność obsypała tragiczną postać młodego grajka rzęsistemi oklaskami. Wrażenie całości psuła niedbała w najwyższym stopniu scenerya. Tam, gdzie każdy kąt powinien tchnąć serdecznem ciepłem dla spotęgowania nastroju sztuki, świeciły nagie, zimne ściany i kilka sztywnych sprzętów, niby od niechcenia ustawionych. Ta niedbałość razić musiała tem więcej ponieważ odpowiednie urządzenie sceny dla ślicznej jednoaktówki nie wymaga ani kosztów nadzwyczajnych, ani starań mozolnych, — tylko nieco znajomości rzeczy i dobrej woli. — Trzyaktowa komedya Junoszy i Lewandowskiego p. t. „Wyścig dystansowy, wystawiona na poznańskiej scenie, nie wywarła, mimo kilku scen, napisanych z humorem, i poprawnej gry pp. Trapszy, Wojdałowicza, Skirmunta, Czerniaka i pani Łaskiej, korzystnego wrażenia. — Gmach opery królewskiej w Berlinie zostanie przebudowany. Przedstawienia tymczasowo odbywać się będą w teatrze Krolla. — Słynny artysta teatrów warszawskich p. Leszczyński przybędzie do Poznania na gościnne występy i przedstawi się publiczności naszej w Otellu, Honorze i Graybberowskiej „Irenie“. Artystom naszym dotychczas ról nie rozdano, chociaż przyjazd warszawskiego gościa spodziewany jest każdej chwili. To odkładanie wszystkiego na ostatnią godzinę jest chroniczną wadą dyrekcyi poznańskiej, a cierpi na tem w wysokim stopniu artystyczna strona teatru.

Zjazdy i kongresy. Pierwszy zjazd kupców polskich z pod zaboru pruskiego, odbędzie się w Poznaniu dnia 11go Listopada r. b. o godzinie 3 i pół w hotelu Wiktorya (Kamieńskiego) z następującym porządkiem obrad: 1, Zagajenie zjazdu. 2, Wybór przewodniczącego i sekretarzy. 3, Sprawozdanie komisyi z pracy dotychczasowej. 4, Przyjęcie ustaw związku kupców. 5, Przyjęcie członków. 6, Wybór zarządu. 7, Zamknięcie zjazdu. Związek który na zjeździe kupców ma być założonym, ma mieć na celu porozumiewanie, informowanie się i pomaganie w wszystkich sprawach kupiectwa i przemysłu, mającego z kupiectwem styczność. — W Bari we Włoszech odbędzie się wiec „dantejski“.

Wystawy. W Berlinie otwarto wystawę chmielu i jęczmienia. — W muzeum wiedeńskim otwarto wystawę haftów szkoły miejscowej.

Zmarli:

Car Aleksander III zm. w czwartek w Liwadyi w 49 roku życia.

Aleksander Koncewicz, bas-baryton zm. we Lwowie w 70 roku życia.

Prof. dr. Ludwik Mauthner, znakomity okulista, zm. w Wiedniu.

BIBLIOGRAFJA.

Stanisław Bełza. Na lagunach Warszawa. Gebethner i Wolff. 1895.

Maryan Gawalewicz Od jutra. Powieść współczesna. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1894.

Jerzy Brandes. Uczucie narodowe. Tłom. W. R. Nakładem „Przeglądu Pozn. 1894. Cena 0,50 Mr.

Dr. Jan Bołoz Antoniewicz. Katalog wystawy sztuki polskiej od r. 1764—1886. Z ilustracyami. Lwów 1894.

Zygmunt Przybylski. Komedye jednoaktowe dla teatrów amatorskich. Warszawa 1894. Gebethner i Wolff.

Odpowiedzi Redakcyi.

Ks. Wir. Zamieścimy z pewnemi zmianami.

150. Dowody przytoczone są tak nikłe, że skorzystać z nadesłanego artykułu nie możemy.

F. G. Podręczniki do „nauki stylu“ mało korzyści przyniosą. Polecamy przedewszystkiem rozczytywać się w dziełach tak znakomitych stylistów jak Sienkiewicz lub Al. Świętochowski (Wł. Okoński). Przysłowie, że z „stylem urodzić się trzeba“ mieści wiele prawdy, ale bez wątpienia również przyczynić się może do wyrobienia stylu czytanie dobrych autorów.

* * *

Adres dziękczynny dla ks. Adama Sapiehy można w redakcyi naszej podpisywać w środy, czwartki, piątki i soboty od godz. 12—2.

Składki

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

P. S. 20 Mr., C. Ch. z Bobrownik 6 Mr., L. C. 10 Mr. Razem 36 Marek.

Ogółem zebraliśmy dotychczas **572 mr. 50 fen.**

O dalsze składki prosimy gorąco.

Sumę 115 Mr. zebraną na fundusz Kościuszkowski złożyliśmy w Banku przemysłowców polskich, jako centralnem miejscu składek.

Sprostowanie.

Do artykułu „Nowi ludzie“ zamieszczonego w Nr. 31. wkradły się następujące omyłki:

Str. 4 łam 3. wiersz 21. zamiast „był to istotnie“ ma być: był to istny skarbiec.

Str. 5. łam 2. wiersz 21. zamiast „podstawą“ ma być postacią.

Str. 5. łam 3. wiersz 33. zamiast „na których tak“ ma być: na których tok.

Str. 6. łam 1. wiersz 25. zamiast „u jednego ze skutkiem“ ma być: u jednego ze studentów.

Str. 6. łam 3. wiersz 1. zamiast „wyróżniają nader“ ma być: wyróżniają ją nader.

Str. 6. łam 3. wiersz 27. zamiast „w porównaniu“ ma być: w porównaniach.

Str. 6. łam 3. wiersz 34. zamiast „z panią M.“ ma być: z panną M.

Str. 6. łam 3. wiersz 42. zamiast „przedmiotowości“ ma być: przedmiotowej.

Od Administracyi.

Panu A. D. w Hochlarmark. Żałujemy, numera od 1—5 zupełnie wyczerpane. Tak samo numer 12-ty. Otrzymaliśmy — dziękujemy.

Za nakład i redakcyę odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.